# SOLARIS

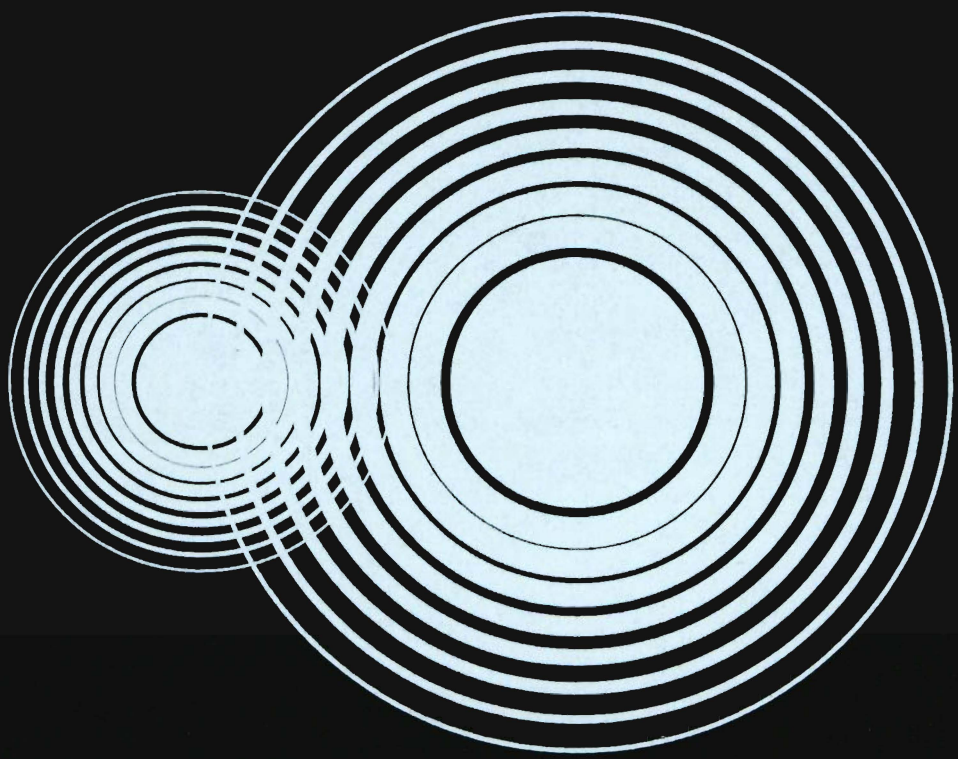

# .RAPORT

S
.R

TR
WARSZAWA

# SOLARIS

## .RAPORT

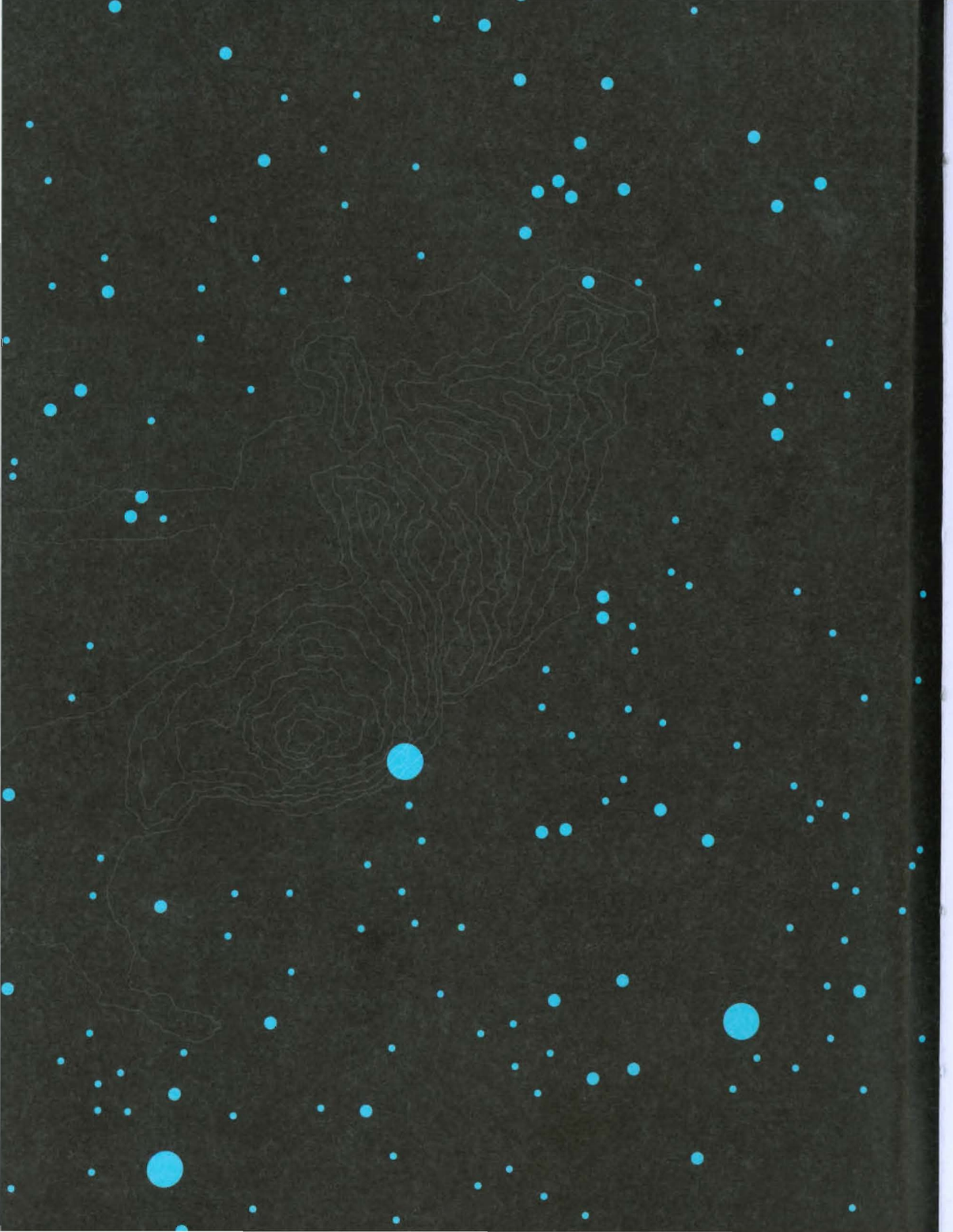



REŻYSERIA I ADAPTACJA
**Natalia Korczakowska**

SCENOGRAFIA I KOSTIUMY
**Anna Met**

MUZYKA
**Marcin Masecki, DJ Lenar**

REŻYSERIA ŚWIATŁA
**Jacqueline Sobiszewski**

PROJEKCJE WIDEO
**Prot Jarnuszkiewicz**

KONSULTANT
**Marcin Cecko**

KONSULTACJE DRAMATURGICZNE
**Jacek Dukaj**

OBSADA

Kelvin
**Cezary Kosiński**

Harey
**Katarzyna Warnke**

Snaut
**Adam Woronowicz**

Sartorius
**Sebastian Pawlak**

Gibarian
**Lech Łotocki**

Berton
**Eryk Lubos**

Murzynka, Instytucja
**Lidia Schneider**

ASYSTENTKA REŻYSERKI **Julita Krajewska**
ASYSTENTKA SCENOGRAFKI **Maja Skrzypek**
KIEROWNIK PRODUKCJI **Kuba Świetlik**
INSPICJENTKA **Karolina Gębska**
REALIZACJA DŹWIĘKU **Agata Jagniątkowska**
REALIZACJA ŚWIATŁA **Tadeusz Perkowski**
REALIZACJA WIDEO **Adrian Hutyriak, Michał Głaszczka**
MONTAŻ PROJEKCJI WIDEO **Ewa Łuczak**
GARDEROBIANE **Elżbieta Kołtonowicz, Monika Drożyńska**
CHARAKTERYZACJA **Monika Fetela, Alicja Dyksa**
REKWIZYTOR **Tomasz Trojanowski**

UTWORY WYKORZYSTANE W SPEKTAKLU
Wolfgang Amadeusz Mozart *Czarodziejski flet*:
Aria Paminy *Ach, Ich Fühl's* (wyk. Irmgard Seefried)
Aria *Zu Hilfe! Zu Hilfe!* (wyk. Anton Dermota)
orkiestra Wiener Philharmoniker pod kierunkiem Herberta von Karajana
David Bowie *Space Oddity*
Chris Isaak *Baby Did A Bad Thing*

– 01 –

# WOJCIECH ORLIŃSKI

## Solaris

W roku 1960 Stanisław Lem przystąpił do pisania powieści pod roboczym tytułem Kosmiczna misja, której tematem miał być raport sporządzony przez emisariusza wysłanego na stację kosmiczną przez „nieufną Centralę". Lem był świeżo po napisaniu Edenu i można domniemywać, że myślał o rozwinięciu zarysowanego w tej powieści pomysłu wykorzystywania sztafażu science fiction do opisywania ustroju totalitarnego.

Nic z tego jednak nie wyszło, bo ledwie jego emisariusz spotkał na korytarzu pierwszego mieszkańca Stacji, a ten przeraził się na jego widok – zaczęły mu przychodzić do głowy coraz ciekawsze wyjaśnienia powodów tego przerażenia. Łamiąc wszystkie zasady, których można się nauczyć na różnych kursach kreatywnego pisania i warsztatach scenariuszowych, Lem zapomniał o wszystkich konspektach, „drabinkach" i treatmentach.

Cała historia rozwijała się przed pisarzem, w miarę jak stukał w klawisze maszyny do pisania w ośrodku pracy twórczej Związku Literatów Polskich w willi Astoria w Zakopanem. Sam od siebie dowiadywał się, co teraz się wydarzy.

W ten sposób wymyślił jeden z najgenialniejszych wątków fabularnych w dziejach science fiction. Oto badacze usiłujący zrozumieć fenomen Oceanu pokrywającego planetę Solaris sami odkrywają, że z badaczy przekształcili się w obiekt badań. Ocean najwyraźniej próbuje dowiedzieć się czegoś o nich samych, bo materializuje najbardziej skryte marzenia, najgłębiej ukryte w gąszczu ich podświadomości.

Głównemu bohaterowi ukazuje się kobieta, która kiedyś z jego winy popełniła samobójstwo i ten wyrzut sumienia, miłosna tragedia sprzed lat, prześladuje go, choć minęło tak wiele lat świetlnych i lat kalendarzowych. Innym bohaterom pojawiają się na Solaris materializacje innych wypartych myśli, jak się można domyślać z różnych przesłanek – skrytych fantazji seksualnych. Natura tych wizji sprawia, że astronauci nie chcą o nich mówić, a swoje fantomy trzymają pod kluczem, słychać najwyżej jakieś szmery i tupot zza drzwi.

Dla głównego bohatera możliwość naprawienia błędu sprzed lat jednak nagle staje się ważniejsza od wszystkiego – od jego misji, od losu

stacji, od jego własnego przetrwania wreszcie. Któż z nas w jego sytuacji nie skorzystałby z takiej szansy i mając przed sobą utraconą ukochaną – gdyby wszystkie zmysły mówiły, że to ona – posłuchałby jednak głosu rozumu mówiącego, że to groźny fantom o nieustalonym zadaniu, przed którym przede wszystkim należy się zabezpieczyć, a nie brać go w ramiona?

Sam wątek miłosny w Solaris jest tak fascynujący, że utwór doczekał się nieformalnej adaptacji w formie plagiatu – w amerykańskim dreszcowcu science fiction Horyzont zdarzeń nie mamy wprawdzie Stacji ani oceanu, tylko eksperymentalny statek kosmiczny, który otarł się o granicę Piekła. Jego konstruktor (grany w tym filmie przez Sama Neilla) przeżywa dylemat podobny do bohatera Solaris, wabi go materialny fantom żony, która popełniła samobójstwo w identycznych okolicznościach.

Lem jednak poszedł w Solaris dużo dalej – wymyślając solarystykę, naukę usiłującą wyjaśnić fenomen planety i Oceanu. Okazuje się, że incydent ma miejsce po wielu latach badań, zasadniczo bezowocnych. Naukowcy sporządzili bogate katalogi dziwnych zachowań Oceanu, zwłaszcza gigantycznych, przypominających ludzkie miasta tworów powstających na jego powierzchni – ale po tych wszystkich latach nie udało im się nawet wyjaśnić, czy to istota żywa, czy tylko bardzo oryginalny twór geologiczny. To jak w innym utworze Lema, w którym sztab matematyków, zapisawszy całe tomiska, doszedł w końcu do jakże słusznego wniosku, że 0=0.

Solaris w wielkim stylu nawiązuje więc do mickiewiczowskiej opozycji między „czuciem i wiarą" a „mędrca szkiełkiem i okiem". Jaki jest jednak wybór samego autora? Stawia na romantyzm czy na oświecenie, na głos serca czy głos rozsądku?

Blisko pół wieku po opublikowaniu Solaris mamy już solarystykę równie bogatą jak ta powieściowa. W powieści kosmologia próbuje zrozumieć planetę Solaris, w realnym świecie literaturoznawcy próbują zrozumieć powieść Solaris.

A szkół mamy bardzo wiele, reprezentujących pełne spektrum interpretacji. Może w ogóle cała akcja powieści to tylko sen albo halucynacje głównego bohatera? Niedotlenienie, przewlekły brak snu, w takich warunkach może się komuś zwidywać ukochana sprzed lat.

Może wszystko to jest metaforą polityczną? A może jednak genderową – Ocean jako ucieleśnienie kobiecości, astronauci jako mężczyźni usiłujący kobiecość skatalogować, opisać, objaśnić i w ten sposób ujarzmić? A może eschatologiczną – Ocean jako Bóg i astronauci jako ludzie usiłujący osiągnąć zbawienie na podstawie wskazówek teologów, bezradnych jak solaryści?

Interpretacje Solaris tworzą labirynt, w którym bardzo łatwo pobłądzić. Łatwo o pozorne skróty, prowadzące jednak na manowce. Dobrze to widać na przykładzie solarystyki obcojęzycznej, której twórcy za klucz do odczytania Solaris uważali elementy obecne tylko w przekładach.

Niemiecki literaturoznawca Manfred Geier przeanalizował powieść od strony psychoanalizy i gender studies. Odwołując się do gramatycznego rodzaju solaryjskich neologizmów podzielił fenomeny zachodzące na powierzchni Oceanu na męskie i żeńskie, dzięki czemu odnalazł w powieści alegorie penisa i waginy. Fascynująca interpretacja, tyle tylko, że rodzaj niemieckich neologizmów nie pokrywał się z ich polskimi pierwowzorami.

Amerykanie z kolei wiele wyczytali w imieniu głównej bohaterki, brzmiącym Rheya: przez grecką boginię Reę łączyli ją z kultem Kybele, a więc z mitem Pramatki, kultem płodności i macierzyństwa.

Wszystko świetnie – ale w oryginale bohaterka nie ma na imię Rheya. Pisarz nie wziął pod uwagę tego, że Amerykanie „Harey" będą wymawiać podobnie do męskiego imienia „Harry". Swoją drogą, gdyby tak zostało, dopiero można by dobudować transgenderową teorię wyjaśniającą, dlaczego ukochana Kelvina ma męskie imię!

Jedno zostało z pierwotnej koncepcji powieści – Kelvin nie przyleciał na tę planetę jako akademik, przysłany jako wysłannik bliżej niesprecyzowanej Centrali. Nie może sobie pozwolić na luksus rozłożenia rąk i powiedzenia, że na sprawę można spojrzeć z różnych aspektów. Musi wybrać własną wersję wydarzeń.

Widzowie tego spektaklu postawieni są w uprzywilejowanej sytuacji. Na to, co się dzieje na stacji, spoglądają z widowni. To nie jest punkt widzenia ani „nieufnej Centrali", ani jej wysłannika. To jest punkt widzenia samego Oceanu. Jeśli więc spróbować zrozumieć Solaris, to tylko w teatrze...

## SOLARIS DOSSIER

– A –
Powieść

Solaris ukazała się w roku 1961. Stanisław Lem miał wtedy 40 lat i był u szczytu twórczej weny. W ciągu jednego roku opublikował trzy powieści, z których każdą bez wahania można określić mianem wybitnej. Poza Solaris był to Pamiętnik znaleziony w wannie, niepokojąca mieszanina Gombrowicza i Orwella i Powrót z gwiazd, powieść o tyle komplementarna wobec Solaris, że również stawiająca pod wielkim znakiem zapytania ulubiony temat ówczesnej science fiction, jakim były załogowe wyprawy ku innym gwiazdom.

Bohater Powrotu z gwiazd wraca z wyprawy kosmicznej, która dla niego trwała tylko 10 lat, ale za sprawą einsteinowskiej dylatacji czasu na Ziemi upłynęło 127 lat kalendarzowych. Jego własna planeta okazuje się bardziej egzotyczna od tego, co widział na innych ciałach niebieskich – całkowicie zmieniła się obyczajowość, inaczej wyglądają relacje damsko-męskie, a przede wszystkim lot w kosmos uważa się za barbarzyński przeżytek z przeszłości, bo znacznie więcej informacji dostarczają bezzałogowe maszyny.

Warto pamiętać o tej drugiej powieści, która powstawała mniej więcej w tym samym okresie. Może jest bowiem tak, że Solaris należy odczytywać przez pryzmat Powrotu z gwiazd – może kiedy raport Kelvina w końcu dotrze na Ziemię, okaże się niepotrzebny, bo nikogo już nie będą obchodziły dalekie planety i ich dziwaczne oceany?

W roku 1961 poza tym, że polski pisarz wydał trzy powieści (i do tego zbiór opowiadań o Ijonie Tichym), miało miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie. Krótki, ale ważny – bo pierwszy w historii – orbitalny lot radzieckiego kosmonauty Jurija Gagarina. Lem swoją wyobraźnią wybiegał już w daleką przyszłość, gdy loty kosmiczne okażą się ostatecznie niepotrzebne – w tym samym roku, w którym człowiek po raz pierwszy oderwał się od ziemskiego pola grawitacyjnego...

Solaris okazała się największym bestsellerem w dorobku Lema. Doczekała się kilkunastu wydań w języku polskim, przetłumaczono ją też m.in. na japoński, włoski, hebrajski, szwedzki, gruziński i dwa hiszpańskie: kastylijski i kataloński.

Istnieje też oczywiście przekład angielski, jednak z nim jest problem: sporządziła go para tłumaczy na podstawie przekładu francuskiego, traktując robotę po macoszemu, z książki wypadło wszystko to, co nie posuwa akcji naprzód, a więc na przykład poetyckie opisy zachowania Oceanu.

To sprawia, że Amerykanie też lubią tę powieść, ale dla nich to trochę inna historia niż dla nas. Z ich punktu widzenia, adaptacja Soderbergha jest całkiem wierna oryginałowi: to po prostu love story w kosmosie, z Oceanem zredukowanym do roli wygaszacza ekranu.

## – B –
## Stanisław Lem

Polski pisarz urodzony w roku 1921 we Lwowie. W roku 1939 zdał maturę i natychmiast potem przeszedł przez koszmar przynależny jego pokoleniu – okupacji niemieckiej, potem radzieckiej, potem znowu niemieckiej, potem znowu radzieckiej. Jego ojciec zwlekał z wyjazdem do Polski do ostatniej chwili, czyli do roku 1946.

Lemowie zabrali się do Polski ostatnim transportem. Gdyby nie to, młody Stanisław być może nigdy nie zostałby pisarzem science fiction. Jego ambicją pod koniec lat 40. było, po pierwsze, ukończenie studiów medycznych, a po drugie, pisanie tradycyjnej literatury realistycznej.

Niestety, inspirowany okupacyjnymi doświadczeniami Szpital przemienienia długo nie mógł się ukazać ze względu na oficjalnie zadekretowany w polskiej literaturze socrealizm. Lem zdążył więc już ogłosić drukiem pierwsze utwory science fiction – m.in. Astronautów i Obłok Magellana – a Szpital przemienienia wciąż czekał na druk, przekształcony w pierwszy tom socrealistycznej trylogii o młodym inteligencie budującym socjalizm.





W połowie lat 50. Lem związał się ze środowiskiem tygodnika „Przekrój", co wywarło wpływ na całą jego literaturę. Przypadli sobie do gustu ze Sławomirem Mrożkiem i dostarczali nawzajem inspiracji – wszak Tango to w pewnym stopniu utwór science fiction, a Lemowi nie było obce konstruowanie scen „jak z Mrożka", w których z lubością obsadzał zwłaszcza Ijona Tichego.

Od roku 1959 (Eden) Lem zaczął jednak pisać utwory będące klasą same dla siebie, nieporównywalne z twórczością jakiegokolwiek innego pisarza. Solaris, Cyberiada, Powrót z gwiazd, Głos Pana – to wszystko utwory, z których każdy stanowi arcydzieło swojego gatunku. Jedna taka książka wystarczyłaby, żeby pisarza uznać za wybitnego, w szczytowym okresie – z którego pochodzi Solaris – Lem zaś potrafił wydać kilka takich w ciągu jednego roku.

Pisarz zmarł w roku 2006, uhonorowany za życia m.in. doktoratami honoris causa sześciu uczelni z trzech krajów (Politechniki Wrocławskiej i Uniwersytetów: Jagiellońskiego, Lwowskiego, Opolskiego i Bielefeld), szeregiem odznaczeń państwowych, w tym Orderu Orła Białego, a także odznaczeniami z Francji, USA, Niemiec i Austrii.

## – C –
## Adaptacje

Solaris doczekała się dwóch najsłynniejszych adaptacji filmowych: radzieckiej Andrieja Tarkowskiego z 1972 roku i hollywoodzkiej Stevena Soderbergha z 2002 roku.

To dwa skrajnie odmienne filmy, oba z kolei na swój sposób odmienne od powieści – a jednak jakoś jej wierne. Tarkowski nakręcił film introwertyczny, w którym Kelvin na Stacji spotyka nie tylko swoją dawną ukochaną, ale także rodziców, a nawet „ciotkę Annę", co wyjątkowo zirytowało Stanisława Lema, który uznał to za wypaczenie idei powieści.

Film Tarkowskiego do dzisiaj jednak ma wielu entuzjastów. Sekwencje pokazujące futurystyczną ziemską cywilizację, kręcone w rzeczywistości w Tokio i Osace, wyprzedzają późniejsze o dekadę Koyaanisqatsi Godrefya Reggio – zdumienie życiem „wytrąconym z równowagi". Recenzja Stanisława Lema, lakoniczne „wy durak!" rzucone w twarz Tarkowskiemu, była więc chyba trochę przesadzona.

Soderbergh zrobił z kolei film akcji. Wróciła do niego „pełna nieufności Centrala", będąca tym razem prywatną korporacją DBA, dla której planeta jest istotna jako potencjalne źródło energii. Również pojawiły się sekwencje kręcone na Ziemi, których wprawdzie w powieści w ogóle nie ma, ale trzeba przyznać, że pytanie „jak w tym świecie wygląda Ziemia" nasuwa się automatycznie!

Poza tymi dwiema najgłośniejszymi warto wymienić adaptacje teatralne, w tym: Stefana Szlachtycza z roku 1995 (szczeciński Teatr Polski) oraz Jerzego Grotowskiego z 1972 (Teatr Polskiego Radia), a także spektakl telewizyjny zrealizowany w ZSRR przez N. Kiemarskiego w 1969. •

– 02 –

# JERZY JARZĘBSKI

## EMOCJE I OPOWIEŚCI

Lem powiedział kiedyś, że swej powieści SOLARIS do końca nie rozumie, a kiedy indziej – że zaczynając pisanie nowej książki, nie wie nigdy, do czego jej akcja doprowadzi. Te dwa oświadczenia pozwalają nam innymi oczyma spoglądać na fabułę powieści: nie jest ona, w świetle autorskich enuncjacji, skomponowaną przemyślnie historią o czymś, co uprzednio zaistniało w świadomości pisarza, ale opisem procesu poznania, który autor inicjuje, projektując sytuację wyjściową, a czytelnik podąża tylko o krok za nim i na równi jest wprzęgnięty w rozwiązywanie zagadki. Myśląc o SOLARIS, wyobrażajmy więc sobie to dzieło jako proces poczynający się w punkcie zero, którym jest – czy ja wiem? – poczucie „normalności" świata, zespół przekonań, jakie żywimy o jego naturze, może też – jakiś przyjęty w ludzkiej kulturze model poznawania i fabularyzacji procesów poznawczych. W tym punkcie wyjścia istnieje więc także – jako presupozycja na temat dalszego ciągu – zbiór standardowych rozwiązań, jakie stosuje (stosowała dotąd) „powieść o kontakcie".

Taka powieść była od zawsze próbą wykroczenia poza zwyczajność, wynalezienia form istnienia i myślenia, które się od ludzkich różnią. Po co? Czasem po to, by zdać sobie sprawę, na czym istota człowieczeństwa polega, czasem – by po prostu wykorzystać ludzką obawę przed Innością, przed zagrożeniami, jakie z jej strony mogą płynąć, czasem w końcu – aby określić, jakie są powszechne i niezależne od gatunkowych różnic dzielących kosmiczne istoty prawidła, którym podlegają: życie, myślenie, wartościowanie, sposoby zrzeszania się i wspólnego działania.

Powieści o kontakcie wyrosły z literatury przygodowej, opisującej spotkanie z Innością na Ziemi: Innymi byli więc najpierw przedstawiciele obcych kultur, czasem istoty bajkowe, odmienne od ludzi, budzące podziw lub grozę. Ale nawet najdziwaczniejsze potwory z niesamowitych opowieści literatury dawnej służyły w jakimś sensie afirmacji ludzkiego porządku – ich zło było złem w odniesieniu do naszej etyki, ich dobroć była idealizacją wyobrażeń o doskonałym człowieku czy doskonałym społeczeństwie.





Te właściwości przejęła zdecydowana większość Obcych przedstawianych w literaturze science fiction: wykroczenie poza ludzkie cechy i reguły było zazwyczaj pozorne, służyło wypróbowaniu ziemskich systemów wartości w realiach jaskrawo odmiennych od tego, do czego na Ziemi i wśród ludzi jesteśmy przyzwyczajeni. Kosmici byli w tych powieściach dziwnie podobni do nas – choćby zewnętrznie diametralnie się od ludzi różnili. Ten fakt – wielokrotnie przez Lema przypominany i poddawany krytyce – skłaniał go do projektowania Obcych jako istot do tego stopnia od ludzi odmiennych, aby wszelkie porównanie i porozumienie pomiędzy nimi maksymalnie utrudnić lub uniemożliwić. Nie od razu ideał takiej istoty – obcej naprawdę – urzeczywistnił. W CZŁOWIEKU Z MARSA, ASTRONAUTACH, OBŁOKU MAGELLANA, nawet w EDENIE kosmici – źli czy dobrzy – tkwią jeszcze po uszy w ludzkich kategoriach, dopiero w następnych powieściach: SOLARIS, NIEZWYCIĘŻONYM, FIASKU, udaje się ich od ludzi skutecznie odpodobnić. Wraz z tym niejakiej modyfikacji ulega model powieści o kontakcie.

Powróćmy do punktu wyjścia SOLARIS i prześledźmy, co się z modelem dzieje. Otóż na samym wstępie Kelvin jakoś tam wyobraża sobie, czego się można po oceanie spodziewać, i skłonny jest przykładać ludzkie miary do wszystkiego, co na swej drodze napotka. Bardzo wierzę, iż na wstępie Lem nie wiedział dobrze, co dziać się będzie z jego bohaterem, choć może założył już sobie ogólnikowo, jakiego typu monstrum spotka on na swej drodze. Powieść zaczyna się jednak od sytuacji typowych dla dość klasycznej powieści przygód i tajemnic w jej kosmicznym wydaniu. Kris Kelvin, lądując na solaryjskiej stacji, natyka się na zjawiska dziwaczne, ale w zasadzie nieprzekraczające „ziemskiej" miary, wyjęte zrazu jak gdyby z opowieści o „duchach" czy „upiorach", które bohater próbuje przebić osinowym kołkiem, w daremnym usiłowaniu, aby się od nich uwolnić.

SOLARIS jest więc najpierw narracją naśladującą opowieści grozy, potem w miarę jak zmienia się emocjonalne nastawienie Kelvina wobec Harey, historia ich dwojga nabiera cech romansu, urwanego na wysokiej, tragicznej nucie, kiedy kochanka fatalistycznie, bo niejako po raz wtóry w dziejach tej miłości, decyduje się na śmierć.

Byłażby więc SOLARIS opowieścią o kochance zza grobu? Nic podobnego: forma gotyckiego romansu jest wszak tylko powierzchniowym szyfrem, w którym wyraża się treść całkiem odmienna, boż przecie Harey nie rzeczywistym jest człowiekiem, ale „środkiem przekazu", z którego pomocą ocean nawiązuje kontakt z przybyszami. Więc ów romans – tak jak i samą neutrinową Harey – traktować można jak pustą, w samej swej istocie nieprawdziwą „wydmuszkę", ludzki kształt przykrywający coś z gruntu nieludzkiego, dla czego nie ma ani nazwy, ani pojęciowych kategorii. Czyż nie tak samo jest z nazwą „ocean" i zbiorem powiązanych z nią kategorii, jakie przykłada się do jedynego mieszkańca planety? Nie mówiąc już o całym bagażu popularnej solarystyki, która ów galaretowaty twór pragnie na siłę uczłowieczyć, mówiąc o nim językiem demonologii, religii czy prymitywnej fantastyki grozy.

Jeśli jednak groza i romantyzm są „sztuczne", to cóż nadbudowuje się ponad nimi? Znów literatura: można wszak odkryć w SOLARIS powieść psychoanalityczną, w której dochodzi do ucieleśnienia dręczących załogę stacji kompleksów, a rolę terapeuty pełni sam ocean, przysyłający kosmonautom „twory F". Można – czemu nie? – czytać ją jak traktat ontologiczny, w którym roz-

patruje się pytania dręczące Lema od czasu Dialogów, czy o istocie człowieczeństwa decyduje materialny substrat, w jakim istota ludzka się realizuje, czy jej schemat konstrukcyjno-funkcjonalny? Od tego zależeć będzie, czy Kelvin potraktuje Harey jak sztuczny mechanizm, naśladujący tylko rzeczywistą dziewczynę, czy jak prawdziwą, wskrzeszoną dziwacznie, kochankę. Każda z tych opcji pociąga za sobą określoną odmianę gatunkową powieści.

Potłuczmy więc to opakowanie z literackich form, i cóż wtedy znajdziemy w środku? Przyjmijmy, że sam ocean – jako jedyną w istocie rzeczy niewiadomą i zarazem przedmiot obiektywnych, naukowych studiów. Ale i tu czeka nas przykra niespodzianka: solaryjska biblioteka przynosi wszak kakofonię teorii i koncepcji, z których każda pociąga za sobą wiarę w taki czy inny badawczy paradygmat, więc znów – język, i to język, który na Ziemi powstał i pośród ludzi funkcjonuje. Takim językiem można od biedy opisać strukturę fizyczną oceanu, nie można jednak w żaden sposób włamać się w jego „myślenie", poznać motywacji działania, itd., tak samo jak najdokładniejsze nawet opisanie struktury mózgu ludzkiego nie pozwoli nam wniknąć w świadomość, którą ten mózg wytwarza. Język nauki jawi się w Solaris jako pewna osobliwość: intencją jego jest tworzenie kategorii powszechnie obowiązujących, „nieludzkich" w tym sensie, że fizyka, chemia i kosmologia mają opisywać równie dobrze Ziemię czy Układ Słoneczny, jak całą pozostałą materię we wszechświecie. Ale właśnie dlatego – aby móc coś „ludzkiego" powiedzieć człowiekowi, nauki ścisłe flirtują z humanistyką, skłonne są do tworzenia własnych narracji, do udzielania odpowiedzi na nieuprawnione pytania o Sens, lub przynajmniej od tego typu pytań się uzależniają, tracą obiektywizm, a już na pewno nie mogą wznieść się ponad poziom posiadanych aktualnie przez ludzkość narzędzi poznania. W pewnym momencie Solaris staje się więc powieścią o nauce, jej ograniczeniach, jej niemożności włamania się w obcy, nieludzki subiektywizm, i ten wątek rozwija się równolegle z wątkiem przygodowym, romansowym, psychologicznym czy filozoficznym.

Może więc historia oceanu mówi nam coś tylko o nas samych? O nieuleczalnym defekcie ludzkiej kondycji, który wszelkie porozumienie: między człowiekiem a Obcością, między jednostkami, ba, między ciałem a psychiką tej samej jednostki, czyni względnym? Można czytać Solaris jako przypowieść kartezjańską z ducha o niemożności wykroczenia poza świadomość, nawiązania komunikacji pomiędzy „materią myślową" a „materią rozciągłą", ale jest w tej książce coś, co poza taką interpretację wykracza. Porozumienie z oceanem jako istotą wieczyście pojedynczą, nieuwikłaną w społeczeństwo, a tym samym – w system językowej komunikacji, jest przecie jakoś tam możliwe, tyle że nie na gruncie symboliki i ratio. Ostatecznie ocean „żyje" i tworzy fascynujące siłą swej ekspresji formy powierzchniowe, których estetykę można kontemplować, choć już nie – rozumieć. O logice, jaką się ten twór posługuje, nic nie wiadomo, i być może nie miałoby sensu bombardować go – jak to usiłują dziś robić ludzie w listach do hipotetycznych kosmitów – trójkątami pitagorejskimi i innymi elementarnymi pojęciami języka nauki. Ocean zdaje się natomiast rozumieć na swój niedocieczony sposób język emocji, o czym świadczy jego natychmiastowa reakcja na „przesłanie", jakie otrzymał od Kelvina. Może to więc emocje (lęk, miłość, smutek, wesołość, agresja itd.) stanowią ten „język pierwszy", najbardziej elementarny środek porozumienia pomiędzy różniącymi się diametralnie istotami z różnych porządków bytu? W tym języku jednak nie da się komunikować treści racjonalnego poznania.

W jednej z zamykających powieść dyskusji – Kelvina ze Snautem – pojawia się, półżartem rzucona, hipoteza mianująca ocean (kalekim) „bogiem", „bogiem"-dzieckiem, które bawi się na razie swymi oszałamiającymi możliwościami. Koncepcja to nie aż tak pozbawiona sensu, jak by się mogło wydawać, treść myślenia oceanu, jego „świat wewnętrzny" jest bowiem dla ludzi tak niedosiężny, jakby był właśnie transcendencją, komunikacja zaś między nim a ludźmi odbywać się może niejako na poziomie modlitwy, tzn. porozumienia poprzez uczucia bardziej niż przez recytowany tekst. Porozumienie z Bogiem dokonuje się – przynajmniej w religii chrześcijańskiej – za pośrednictwem „Boga-człowieka" i Biblii – świętej księgi, będącej przecie historią ludzi, a zatem i tu nasz język czy instrumentarium pojęciowe muszą się pojawić pomiędzy ludzkością a niewyrażalną bezpośrednio transcendencją.

Tym samym istnieje w Solaris materiał na kolejny typ prozy: powieści metafizycznej, opisującej doświadczenie guasi-religijne, czyli doświadczenie wykroczenia poza granice naszego świata, doświadczenie wiary i nadziei. Widać już teraz, że z literackiego punktu widzenia dzieło Lema jest wielowarstwowym palimpsestem, w którym współgrają różne poetyki i sposoby ujmowania świata. Każda z tych poetyk próbuje świat wytłumaczyć na swój sposób i żadnej się to udać nie może, bo wszelkie standardowe wyjaśnienia ześlizgują się z tego osobliwego przedmiotu poznania, jakim jest ocean. W finale Kelvin, przeżywszy swoją klęskę osobistą, postanawia mimo wszystko pozostać na solaryjskiej stacji. Nie wiemy do końca dlaczego i chyba autor sam tego „z całą pewnością" nie wie. Może więc Kelvin zostaje po to, by jeszcze raz spotkać Harey i jeszcze raz przeżyć dramat, na którym ufundowana jest jego pełna poczucia winy osobowość? Równałoby się to próbie zrozumienia siebie i tego zadanego sobie na całe życie problemu, którym jest niszczące rozdarcie między miłość i pragnienie poznania. Może jednak inaczej: zostaje po to, by po raz kolejny zmierzyć się z Obcością, spróbować wykroczenia poza własne granice? Wówczas Kelvin widziałby się nam raczej uczonym-filozofem, podejmującym wciąż na nowo beznadziejne zadanie uchwycenia jakiejś uniwersalnej, pozaludzkiej Prawdy. Obydwie motywacje – silnie z sobą wzajem splecione – nie obiecują żadnych spełnień poza tym jednym: zachowaniem godności w obliczu nieuchronnej poznawczej klęski.

Solaris jest niewątpliwie najsłynniejszą spośród powieści Lema, doczekała się niezliczonej ilości omówień w wielu krajach i językach, należy – jak może żadne inne dzieło literatury polskiej – do ścisłego kanonu swego gatunku: „powieści o kontakcie", co oznacza, że żadne kompendium omawiające, nawet w wielkim skrócie, dzieje światowej fantastyki nie może jej pominąć i zlekceważyć. Dlaczego Solaris właśnie, bardziej niż inne powieści i zbiory opowiadań Lema, zdobyła sobie taką pozycję? Może dlatego, iż udało się tutaj nie tylko stworzyć najoryginalniejszą wizję Innego, jaką zna światowa science fiction, ale też najciekawiej, w sposób najbardziej emocjonujący przedstawić dramat poznania.

Dramat ten polega najogólniej na tym, że człowiek, niezależnie od tego, jak nieludzki i niepojmowalny jest przedmiot jego poznania, musi przede wszystkim, ścierając się w powieści z Obcością, opowiadać jakąś „ludzką"

historię. Trudno i darmo! Nieludzka powieść nie da się pomyśleć. Maestria Lema polega tu na tym, że swoje ludzkie historie, choć pasjonujące w lekturze, uczynił jakby zasłoną spowijającą główną tajemnicę. Dlatego łatwo jest Solaris przeczytać powierzchownie, przejąć się tylko opisanymi w niej międzyludzkimi dramatami i nie dostrzec, że one zakrywają dramat główny, który polega na zaszpuntowaniu człowieka w jego gatunkowej subiektywności. Tak, zdaje się, czytał powieść Lema jedyny jak dotąd jej filmowy adaptator, Andriej Tarkowski, który z autorem książki najwyraźniej nie umiał się porozumieć.

Wszystkie języki, jakie ta powieść uruchamia, zdają się niepełne i zdefektowane, każdy bowiem funkcjonuje tylko na pewnym poziomie ontologicznym. Język nauk ścisłych, jak się rzekło, nie umie nic powiedzieć o świadomości, emocjach, sensach i wartościowaniu, język międzyludzkiej komunikacji pełen jest ideologicznych zafałszowań, stereotypów, komunałów, a także miejsc „pustych", w których działa cenzura nałożona na treści naprawdę osobiste, własność poszczególnych jednostek. Z tego samego powodu język prywatny każdej jednostki z osobna do komunikacji się nie nadaje, bo próbuje wyrazić to, co nieprzekazywalne, wstydliwe, nie na pokaz (dlatego ocean, sondując mózgi kosmonautów, nie przedostaje się do poziomu komunikacji społecznej, przemawia do głębokich warstw psychiki każdej spośród jednostek z osobna). Stąd bierze się wielowarstwowość powieści, wielość uruchamianych jednocześnie modeli fabularnych i zarazem ich niewystarczalność.

Jedyne, co pozostaje wspólne dla tych wielu poziomów komunikacji, to, jak się rzekło, sfera uczuć. Solaris jest nimi wypełniona po brzegi. Grają w niej strach, miłość, wstyd, ciekawość, duma i zniechęcenie, niepewność na zmianę z niezachwianym przekonaniem. To emocje są w powieści Lema czymś naprawdę niewątpliwym – i one przenoszą się łatwo na czytelnika, czyniąc go jednym z „solarystów", mającym takie jak oni problemy ze sobą i otaczającym światem. Emocje też sprawiają, że powieść od pierwszej do ostatniej strony przykuwa uwagę, trudno się od niej oderwać. Ale w tej historii, gdzie wszystko w końcu podlega podważeniu i zaprzeczeniu, także i emocje są zasłoną, przynależą do sfery ułudy. Poza nimi jest chłodne i dość bezlitosne przekonanie, że granice człowieczeństwa są w samej rzeczy granicami poznania. Świat, na który projektujemy własne stany ducha, daje się jakoś zaakceptować, okazuje się zdatny do zamieszkania, co nie znaczy: możliwy do pojęcia. Solaris jest więc w sferze poznawczej skrajnie pesymistyczna, choć zarazem mówi, że póki zdolni będziemy przeżywać świat jako (ludzką) opowieść, egzystencjalna rozpacz pozostawi nam mimo wszystko przymieszkę nadziei. •

Jerzy Jarzębski, *Emocje i opowieści* [w:] Stanisław Lem, *Solaris*, Wydawnictwo Literackie 1999



SOLARIS
RAPORT

– Solaris / dodatek a –

# TWORY SOLARIS: DŁUGONIE, CHYŻE, SYMETRIADY, MIMOIDY

Stanisław Lem

[...] wróciłem do szacownej księgi, którą miałem na kolanach. „Dziesięć lat badań Solaris" wyszło w serii „Solariana" jako pozycje od czwartej do trzynastej, podczas gdy obecne mają liczby czterocyfrowe.

kodyfikacja Giesego

Giese nie miał zbyt wiele polotu, ale ta cecha może tylko zaszkodzić badaczowi Solaris. Nigdzie bodaj wyobraźnia i umiejętność pospiesznego tworzenia hipotez nie staje się tak zgubna. W końcu wszystko jest na tej planecie możliwe. Niewiarygodnie brzmiące opisy konstelacji, które tworzy plazma, są według wszelkiego prawdopodobieństwa autentyczne, chociaż na ogół niesprawdzalne, ocean bowiem rzadko kiedy powtarza swoje ewolucje. Obserwującego je po raz pierwszy przerażają głównie obcością i ogromem, gdyby występowały w małej skali, w jakimś bajorze, uznano by je zapewne za jeszcze jeden „wybryk natury", przejaw przypadkowości i ślepej gry sił. To, że miernota i geniusz stają jednakowo bezradni wobec nieprzebranej rozmaitości solarycznych form, też nie ułatwia obcowania z fenomenami żywego oceanu. Giese nie był jednym ani drugim. Był po prostu klasyfikatorem-pedantem, z gatunku tych, których zewnętrzny spokój osłania pochłaniającą całe życie, niezmordowaną zaciekłość pracy. Jak długo mógł, posługiwał się po prostu językiem opisu, a kiedy brakło mu słów, radził sobie, stwarzając nowe słowa, często niefortunne, nieprzystające do opisywanych zjawisk. Ale w końcu żadne terminy nie oddają tego, co się dzieje na Solaris. Jego „górodrzewy", jego „długonie", „grzybiska", „mimoidy", „symetriady" i „asymetriady", „pacierzowce" i „chyże" brzmią szalenie sztucznie, dają jednak jakieś wyobra-

żenie o Solaris nawet tym, którzy oprócz niewyraźnych fotografii i nader niedoskonałych filmów nic nie widzieli. Oczywiście i ten sumienny klasyfikator zgrzeszył niejedną nieostrożnością. Człowiek stawia hipotezy zawsze, nawet kiedy się ma na baczności, nawet kiedy o tym nie wie. Giese sądził, że „długonie" stanowią formę zasadniczą, i zestawiał ją z wielokrotnie powiększonymi i spiętrzonymi falami przypływowymi ziemskich mórz. Kto zresztą kopał się w pierwszym wydaniu jego dzieła, wie, że pierwotnie nazwał je właśnie „przypływami", natchniony geocentryzmem, który byłby śmieszny, gdyby nie jego bezradność. Są to przecież – jeśli już szukać porównań na Ziemi – formacje rozmiarami przekraczające Wielki Kanion Kolorado, wymodelowane w tworzywie, które ma z wierzchu konsystencję galaretowato-pienistą (przy czym piana ta zastyga w olbrzymie, kruszące się łatwo festony, w koronki o olbrzymich okach, i nawet niektórym badaczom przedstawiała się jako „szkieletowate narośle") – w głębi zaś zmienia się w substancję coraz bardziej jędrną, jak napięty muskuł, ale muskuł przekraczający rychło, na głębokości kilkunastu metrów, twardość głazu, choć nadal zachowujący elastyczność. Pomiędzy napiętymi jak błona na grzbiecie potwora ścianami, których czepiają się „szkieleciska", ciągnie się na przestrzeni kilometrów właściwy „długoń", twór pozornie samodzielny, niby jakiś kolosalny pyton, który obżarł się całymi górami i trawi je teraz w milczeniu, od czasu do czasu wprawiając swoje ściśnione po rybiemu ciało w powolne, drgające ruchy. Ale tak wygląda „długoń" tylko z góry, z pokładu lecącej maszyny. Kiedy się doń zbliżyć, aż obie „ściany wąwozu" wzniosą się setki metrów ponad samolotem, „tułów pytona" okazuje się rozciągniętym po horyzont obszarem ruchu tak zawrotnego, że nabierającego przez to wyglądu biernie spęczniałego cylindra. Pierwsze wrażenie to wirowanie śliskiej, szarozielonkawej mazi, która spiętrzeniami odrzuca mocne błyski słońca, lecz gdy maszyna zawiśnie tuż nad samą powierzchnią (a brzegi „wąwozu", kryjącego w sobie „długonia", stają się wówczas jak gdyby szczytami po obu stronach geologicznej zapadliny), widać, że ruch jest daleko bardziej skomplikowany. Posiada współśrodkowe obiegi, krzyżują się w nim ciemniejsze strumienie, chwilami wierzchni „płaszcz" staje się lustrzaną powierzchnią odbijającą niebo i chmury, przebijaną z hukiem wystrzałów erupcjami przemieszanego z gazem, na pół płynnego ośrodka. Powoli staje się zrozumiałe, że tuż pod sobą ma się centrum działania sił, które utrzymują rozchylone na boki, dźwignięte pod niebo zbocza krystalizującej ospale galarety, ale tego, co jest oczywiste dla oka, nie przyjmuje tak prosto do wiadomości nauka. Ileż lat toczyły się zaciekłe dyskusje na temat, co właściwie dzieje się w obrębie „długoni", które milionami przeorywują bezmiary

1 „długoń"





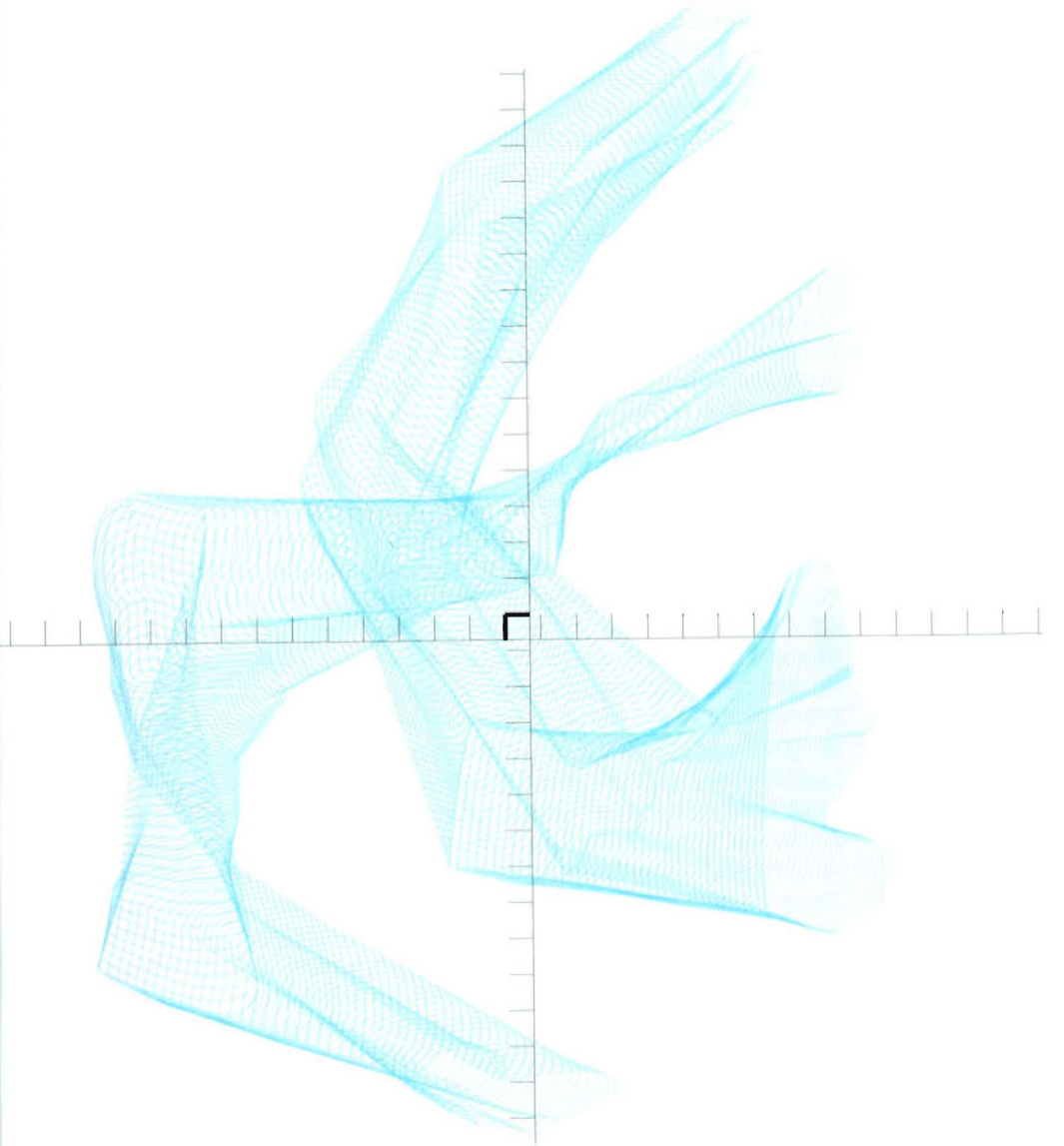

1 [tablica 01] Fazy rozwoju „długonia" wg Tichego

żywego oceanu. Sądzono, że to są jakieś narządy potwora, że odbywa się w nich przemiana materii, procesy oddechowe, transport substancji odżywczych, i tylko zakurzone biblioteki wiedzą, co jeszcze. Każdą hipotezę udało się w końcu obalić tysiącem żmudnych, a nieraz i niebezpiecznych doświadczeń. A wszystko to dotyczy jedynie „długoni", formy w gruncie rzeczy najprostszej, najtrwalszej, bo istnienie ich liczy się na tygodnie – rzecz zgoła tu wyjątkowa.

Bardziej zawiłą, kapryśną i najgwałtowniejszy bodajże sprzeciw u patrzącego budzącą formą – sprzeciw, rzecz jasna, odruchowy – są „mimoidy". Można rzec bez przesady, że Giese ukochał je i badaniu ich, opisywaniu, odgadywaniu ich istoty poświęcił się do końca. Nazwą usiłował oddać to, co w nich jest dla człowieka najosobliwsze: pewną skłonność do naśladowania form otaczających, wszystko jedno, bliskich czy odległych.

„mimoid poranny"

Jakiegoś dnia głęboko pod powierzchnią oceanu zaczyna ciemnieć płaski, szeroki krąg o poszarpanych brzegach i jakby smołą zlanej powierzchni. Po kilkunastu godzinach staje się płatowaty, przejawia coraz wyraźniejsze rozczłonkowania, a jednocześnie przebija się w górę, ku powierzchni. Obserwator przysiągłby, że toczy się pod nim gwałtowna walka, bo z całej okolicy zbiegają się tu jak kurczące się wargi, jak żywe, umięśnione, zamykające się kratery, nieskończone szeregi współbieżnych, kolistych fal, spiętrzają się nad rozlanym w głębi, czarniawym, chwiejącym się majakiem i stając dęba, walą w dół. Każdemu takiemu runięciu setek tysięcy ton towarzyszy na sekundy rozciągnięty, lepki, mlaszczący, chciałoby się powiedzieć, grzmot, bo tu wszystko się dzieje na skalę potworną. Ciemny twór zostaje zepchnięty w dół, każdy następny cios zdaje się go rozpłaszczać i rozszczepiać, od pojedynczych płatów, które zwisają jak zmokłe skrzydła, oddzielają się podługowate grona, zwężają w długie naszyjniki, stapiają z sobą i płyną w górę, dźwigając jak gdyby przyrośniętą do nich, skawalonę tarczę macierzystą, a tymczasem z góry bezustannie wpadają w coraz wyraźniej zaklęsające kolisko kolejne pierścienie fal. I ta gra toczy się czasem dzień, czasem miesiąc. Niekiedy na tym wszystko się już kończy. Sumienny Giese nazwał ten wariant „mimoidem porannym", jak gdyby nie wiadomo skąd posiadał dokładną wiedzę, że ostatecznym celem każdego takiego kataklizmu jest „mimoid dojrzały", to znaczy ta kolonia polipowatych, jasnoskórych narośli (zazwyczaj większa od ziemskiego miasta), której przeznaczeniem jest małpowanie kształtów zewnętrznych... Oczywiście nie zabrakło innego solarysty, nazwiskiem Uyvens, który tę fazę ostatnią uznał właśnie za „degeneracyjną", za zwyrodnienie, obumieranie, a las tworzonych kształtów za oczywisty przejaw wyzwalania się odszypułowanych tworów spod władztwa macierzy.





Giese jednak, który we wszystkich opisach innych tworów solarycznych zachowuje się jak mrówka chodząca po zamarzłym wodospadzie, niczemu nie dając się wytrącić z miarowego kroku swej oschłej frazy, tak był pewny swego, że poszczególne fazy wyłaniania się mimoidu uszeregował w ciąg rosnącej doskonałości.

Widziany z wysoka mimoid wydaje się być podobny do miasta, jest to jednak ułuda, wywołana poszukiwaniem jakiejkolwiek analogii pośród tego, co znane. Kiedy niebo jest czyste, wszystkie wielopiętrowe wyrosła i ich szczytowe palisady otacza warstwa nagrzanego powietrza, powodując pozorne kołysanie się i uginanie kształtów i tak już trudnych do ustalenia. Pierwsza chmura sunąca błękitem (mówię tak z przyzwyczajenia, bo „błękit" ten jest rudy za czerwonego, a przeraźliwie biały podczas błękitnego dnia) wzbudza natychmiastowy odzew. Rozpoczyna się gwałtowne pączkowanie, w górę wyrzucona zostaje prawie całkowicie oddzielona od podłoża, ciągliwa, wydymająca się kalafiorowato powłoka, która równocześnie blednie i po kilku minutach do złudzenia imituje kłębiastą chmurę. Olbrzymi obiekt ten rzuca czerwonawy cień, jedne szczyty mimoidu podają jak gdyby następnym; ruch ten odbywa się zawsze w kierunku przeciwnym do ruchu rzeczywistej chmury. Myślę, że Giese dałby sobie zapewne uciąć rękę, żeby się dowiedzieć choć tego, czemu tak się dzieje. Ale takie „samotne" wytwory mimoidu są niczym w porównaniu z żywiołową działalnością, jaką przejawia „podrażniony" obecnością przedmiotów i kształtów, które pojawiają się nad nim za sprawą ziemskich przybyszów.

Odtwarzanie form obejmuje istotnie wszystko, co znajdzie się w odległości nieprzekraczającej ośmiu-dziewięciu mil. Najczęściej mimoid produkuje odtworzenie powiększone, czasem zniekształca je, tworząc karykatury bądź groteskowe uproszczenia, zwłaszcza maszyn. Rzecz oczywista, tworzywem jest zawsze ta sama, szybko blednąca masa, która wyrzucona w powietrze zamiast opaść, zawisa, zespolona rwącymi się łatwo pępowinami z podłożem, po którym przesuwa się czołgliwie, a jednocześnie kurcząc się, zwężając bądź rozdymając, układa się płynnie w najbardziej zawiłe wzory. Samolot, kratownica czy maszt zostają zreprodukowane z jednaką chyżością; mimoid nie reaguje jedynie na samych ludzi, a mówiąc ściśle na żadne istoty żywe, także i na rośliny, bo i te sprowadzili na Solaris dla celów eksperymentalnych niestrudzeni badacze. Natomiast manekin, ludzka kukła, posążek psa czy drzewa wyrzeźbiony z dowolnego materiału kopiowany jest natychmiast.

I tu, niestety, trzeba zaznaczyć nawiasowo, że to „posłuszeństwo" mimoidu wobec eksperymentatorów, tak na Solaris wyjątkowe, podlega

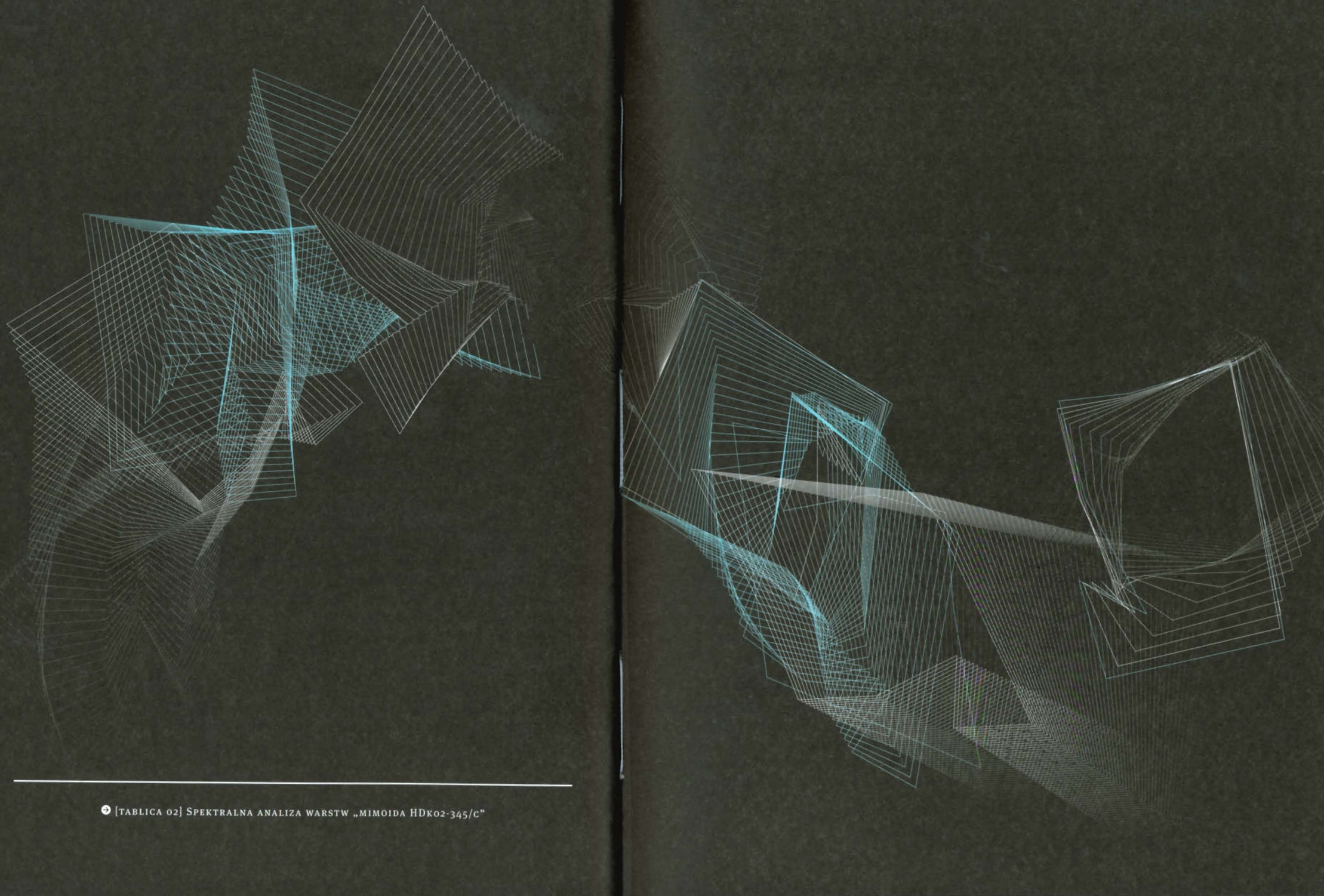

[tablica 02] Spektralna analiza warstw „mimoida HDk02-345/c”

niekiedy zawieszeniu. Najdojrzalszy mimoid przeżywa takie swoje „leniwe dni", w czasie których tylko bardzo powoli pulsuje. Pulsowanie to nie jest zresztą dostrzegalne dla oka, jego rytm, pojedyncza faza „tętna" obejmuje ponad dwie godziny i trzeba było dopiero specjalnych filmowych zdjęć, aby zostało odkryte.

W takich okolicznościach mimoid, zwłaszcza stary, doskonale nadaje się do zwiedzania, gdyż zarówno tarcza podtrzymująca, zanurzona w oceanie, jak i wzniesione z niej twory dają aż nadto pewne oparcie stopie.

Można oczywiście przebywać w obrębie mimoidu także w jego dniach „pracowitych", ale wówczas widoczność bliska jest zeru, wskutek nieustannego opadania puszystej, białawej jak zmielony śnieg zawiesiny koloidalnej, która bezustannie sypie się ze spęczniałych rozdrzewień odwłoku, kopiującego formy. Form tych niepodobna zresztą ogarnąć z bliska, ze względu na ich ogrom zakrojony na skalę gór. Nadto podłoże „pracującego" mimoidu staje się grząskie od mięsistego deszczu, który w twardą, wielokrotnie lżejszą od pumeksu skorupę ścina się dopiero po kilkunastu godzinach. Na koniec, bez odpowiedniego ekwipunku można łatwo zabłądzić w labiryncie pękatych uszypułowań, przypominających ni to kurczliwe kolumny, ni to półpłynne gejzery, i to nawet w pełnym słońcu, gdyż promienie jego nie mogą przebić pokrywy bezustannie wyrzucanych w atmosferę „imitujących eksplozji".

Obserwowanie mimoidu w jego szczęśliwych dniach (są to, mówiąc ściślej, szczęśliwe dni badacza, który się nad nim znajduje) może być źródłem niezatartych wrażeń. Miewa on swoje „wzloty twórcze", kiedy rozpoczyna niesamowitą hiperprodukcję. Tworzy wtedy bądź własne warianty zewnętrznych form, bądź ich komplikacje czy nawet „kontynuacje formalne", i tak zabawiać się potrafi godzinami ku uciesze malarza abstrakcjonisty i ku rozpaczy uczonego, który próżno sili się zrozumieć cokolwiek z zachodzących procesów. Czasem w działalności mimoidu przejawiają się cechy wręcz dziecinnego upraszczania, czasem popada w „odchylenie barokowe", wtedy wszystko, co tworzy, naznaczone jest piętnem rozpuchłej słoniowaciny. Zwłaszcza stare mimoidy fabrykują kształty zdolne przyprawić o serdeczny śmiech. Ja co prawda nigdy nie potrafiłem się z nich śmiać, nazbyt zaszokowany tajemniczością widowiska.

Ma się rozumieć, w pierwszych latach badań rzucono się wprost na mimoidy jako na wymarzone rzekomo ośrodki oceanu solaryjskiego, jako na miejsca, w których nastąpi upragniony kontakt dwu cywilizacji. Aż nadto szybko okazało się jednak, że o żadnym kontakcie nie ma mowy, wszystko bowiem zaczyna się i kończy na imitowaniu kształtów, które prowadzi donikąd.





| ROK | FAZA „C" | FAZA „H" |
|---|---|---|
| 12 | -23 | +2 |
| 13 | +18 | -4 |
| 14 | +22 | +123 |
| 15 | -114 | -29 |
| 16 | -1 | +8 |
| 17 | +65 | +73 |
| 18 | +21 | +95 |
| 19 | -7 | -65 |

[tabela 01] Częstotliwość powstawania „mimoidów". Lata 12-19

Bezustannie powracający w rozpaczliwych poszukiwaniach badaczy antropo- czy też zoomorfizm upatrywał w coraz to innych wytworach żywego oceanu „organy zmysłowe" czy nawet „kończyny", za które przez pewien czas uczeni (jak Maartens i Ekkonai) brali „pacierzowce" i „chyże" Giesego. Ale te protuberancje żywego ocenu wystrzelające niekiedy do dwu mil w atmosferę są tyleż „kończynami", ile trzęsienie ziemi jest „gimnastyką" jej skorupy.

Katalog form powtarzających się względnie stale, rodzonych przez żywy ocean tak często, że przynajmniej kilkadziesiąt bądź kilkaset można odkryć na jego powierzchni w ciągu doby, obejmuje około trzystu pozycji. Najbardziej nieludzkie, w sensie absolutnego braku podobieństwa do czegokolwiek doświadczonego przez człowieka na Ziemi, są według szkoły Giesego symetriady. Kiedy już było doskonale wiadome, że ocean nie zachowuje się agresywnie i zginąć w jego plazmatycznych odmętach może tylko ten, kto się o to szczególnie stara wskutek własnej nieostrożności bądź bezmyślności (nie mówię naturalnie o wypadkach spowodowanych np. uszkodzeniem aparatu tlenowego czy klimatyzatora), że nawet walcowate rzeki długoni i potworne słupy pacierzowców, chwiejących się błędnie pośród chmur, można na wylot przebijać samolotem czy inną latającą maszyną bez najmniejszego niebezpieczeństwa; plazma daje wolną drogę, rozstępując się przed obcym ciałem z chyżością równą szybkości dźwięku w solaryjskiej atmosferze, otwierając, jeśli się ją do tego zmusi, głębokie tunele nawet pod powierzchnią oceanu (przy czym energia, jaką w tym celu momentalnie uruchamia, jest olbrzymia – Skria-

bin obliczał ją w wypadkach skrajnych na 1019 ergów!!!). Do badania symetriad przystępowano z nadzwyczajną ostrożnością przy ciągłym cofaniu się, zwielokrotnianiu zabezpieczeń, często co prawda fikcyjnych, a nazwiska tych, co pierwsi zapuścili się w ich otchłanie, znane są każdemu dziecku na Ziemi.

Groza tych olbrzymów nie tkwi w ich wyglądzie, chociaż naprawdę może przyprawić o koszmarne sny. Pochodzi stąd raczej, że nie ma w ich obrębie nic stałego ani pewnego, zawieszeniu ulegają w nich nawet prawa fizyczne. To badacze symetriad właśnie najgłośniej powtarzali zawsze tezę, iż żywy ocean jest rozumny.

Symetriady powstają nagle. Narodziny ich są rodzajem erupcji. Na jakąś godzinę przedtem ocean zaczyna gwałtownie lśnić, jak gdyby zeszklony na powierzchni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. Poza tym jego płynność ani rytm falowania nie zmieniają się. Czasem wybucha symetriada tam, gdzie znajdował się lej po wessanym chyżu, ale to nie jest regułą. Po jakiejś godzinie szkląca się powłoka wylatuje w górę potwornym bąblem, w którym odbija się cały nieboskłon, słońce, chmury, wszystkie widnokręgi, mieniąc się i załamując. Błyskawicowa gra kolorów, wywołana częściowo ugięciem, a częściowo załamywaniem światła, nie ma sobie równej.

fazą kielicha kwiatowego

Szczególnie gwałtowne efekty świetlne dają symetriady powstające podczas błękitnego dnia oraz tuż przed zachodem słońca. Ma się wówczas wrażenie, że planeta rodzi drugą, z każdą chwilą podwajającą swą objętość. Płonący blaskami globus, ledwo wystrzelony z głębin, rozpęka się u szczytu na pionowe sektory, ale to nie jest rozpad. Stadium to, nazywane niezbyt szczęśliwie „fazą kielicha kwiatowego", trwa sekundy. Mierzące w niebo łuki błoniastych przęseł odwracają się, sczepiają w niewidzialnym wnętrzu i zaczynają formować błyskawicznie coś w rodzaju krępego torsu, w którego obrębie zachodzą setki zjawisk naraz. W samym centrum, zbadanym po raz pierwszy przez siedemdziesięcioosobową ekipę Hamalei, zachodzi przez giganto- i polikrystalizację powstanie osiowego trzpienia dźwigającego, nazywanego czasem „kręgosłupem", ale nie należę do zwolenników tego terminu. Karkołomna architektonika tej centralnej podpory podtrzymywana jest in statu nascendi przez tryskające bezustannie z kilometrowych zapadlin pionowe słupy tak rozrzedzonej, że prawie wodnistej galarety. Podczas tego procesu kolos wydaje głuchy, przeciągły ryk, otacza go wał trzepocącej gwałtownie, śnieżystej, grubokomorowej piany. Potem następują – od centrum ku obwodowi – nad wyraz skomplikowane obroty zgrubiałych płaszczyzn, na których nawarstwiają się bijące z głębi pokłady rozciągliwego tworzywa, zarazem





wspomniane przed chwilą głębinowe gejzery przekształcają się, tężejąc, w ruchliwe mackowate kolumny, przy czym pęki ich zmierzają ku ściśle określonym dynamiką całości miejscom konstrukcji, przypominając jakieś niebotyczne skrzele płodu rosnącego z tysiąckrotnym przyspieszeniem, przez które płyną strumienie różowej krwi i tak ciemnozielonej, że prawie czarnej wody. Od tej chwili symetriada zaczyna już przejawiać swoją najniezwyklejszą właściwość – modelowania czy wręcz zawieszania pewnych praw fizycznych. Powiedzmy najpierw, że nie ma dwu takich samych symetriad i geometria każdej jest jak gdyby nowym „wynalazkiem" żywego oceanu. Dalej, symetriada produkuje w swym wnętrzu to, co nazywa się często „momentalnymi maszynami", chociaż twory te nie przypominają wcale maszyn konstruowanych przez ludzi, chodzi tu jedynie o stosunkowo wąską i przez to jak gdyby „mechaniczną" celowość działania.

Gdy bijące z otchłani gejzery stężeją bądź rozedmą się w grubościenne galerie i korytarze biegnące we wszystkich kierunkach, a „błony" utworzą system przecinających się płaszczyzn, zwisów, stropów, symetriada usprawiedliwia swą nazwę tym, że każdemu ukształtowaniu krętych przelotów, ciągów i pochylni w obrębie jednego bieguna odpowiada wierny w szczegółach układ u bieguna przeciwnego.

Po jakichś dwudziestu-trzydziestu minutach gigant zaczyna wolno zanurzać się, niekiedy pochyliwszy się pierwej w osi pionowej o osiem do dwunastu stopni. Bywają symetriady większe i mniejsze, ale nawet karły wznoszą się po zanurzeniu na dobre osiemset metrów ponad horyzont i widoczne są z odległości kilkunastu mil. Dostać się do wnętrza można najbezpieczniej tuż po nastąpieniu równowagi, gdy całość przestaje się zagłębiać w żywy ocean, zarazem następuje powrót do dokładnego pionu; najwłaściwszym miejscem penetracji jest okolica tuż poniżej szczytu. Względnie gładką „czapę" biegunową otacza tam obszar podziurawiony jak rzeszoto smoczkowatymi ujściami wewnętrznych komór i przewodów. Formacja ta stanowi – jako całość – trójwymiarowe rozwinięcie jakiegoś równania wyższego rzędu.

symetriada Riemanna

Jak wiadomo, każde równanie można wyrazić figuralnym językiem wyższej geometrii i zbudować bryłę będącą jego odpowiednikiem. Symetriada jest – w takim rozumieniu – jakąś krewną stożków Łobaczewskiego i ujemnych krzywizn Riemanna, ale krewną bardzo daleką, wskutek swej niewyobrażalnej zawiłości. Stanowi obejmujące przestrzeń kilku mil sześciennych rozwinięcie całego systemu matematycznego, przy czym rozwinięcie to jest czterowymiarowe, albowiem istotne współczynniki równań wyrażają się także w czasie, w zachodzących z jego upływem zmianach.

[tablica 03] Symetriada Riemanna. Rzut i detal

Najprostsza była, oczywiście, myśl, że mamy przed sobą ni mniej, ni więcej tylko „matematyczną maszynę" żywego oceanu, stworzony na jego skalę model obliczeń, potrzebnych mu do nieznanego nam celu, ale tej hipotezy Fermonta nikt już dziś nie podziela. Kusząca była na pewno – ale wyobrażenie, iż takimi tytanicznymi erupcjami, których każda cząsteczka podlega bezustannie komplikującym się formułom wielkiej analizy, żywy ocean roztrząsa zagadnienia materii, kosmosu, bytu... nie dało się utrzymać. Zbyt wiele można napotkać w głębi olbrzyma zjawisk niedających się pogodzić z tym prostym w gruncie rzeczy (dziecinnie naiwnym, jak chcą niektórzy) obrazem.

Nie brakło prób wymyślenia jakiegoś przystępnego modelu symetriady, unaocznienia jej; spopularyzował się dosyć przykład Aweriana, który rzecz przedstawił tak: Wyobraźmy sobie zamierzchłą budowlę ziemską z czasów świetności Babilonu, niechaj utworzona będzie z żywej, pobudliwej i ewolucyjnej substancji; architektonika jej przechodzi płynnie przez szeregi faz przejściowych, przybierając na naszych oczach formy budownictwa greckiego, romańskiego, potem kolumny zaczynają się wysmuklać jak łodygi, sklepienie traci ciężar, ulatnia się, wyostrza, łuki przechodzą w strome parabole, na koniec załamują się strzeliście. Tak powstały gotyk poczyna dojrzewać i starzeć się, przepływa w formy późne, dotychczasową surowość stromego pięcia się, wzlotu zastępują erupcje orgiastycznej bujności, w naszych oczach rozrasta się owocujący nadmiarem barok, jeśli ciąg ten będziemy kontynuować, traktując wciąż nasz zmieniający się twór jako poszczególne etapy żywego istnienia, dojdziemy wreszcie do architektury epoki kosmodromicznej, zbliżając się jednocześnie, być może, do zrozumienia, czym jest symetriada.

Ale porównanie to, jakkolwiek rozwijane i wzbogacane (były zresztą próby jego wizualizacji za pomocą specjalnych modeli i filmu), pozostaje czymś w najlepszym razie bezsilnym, w najgorszym zaś unikiem, jeśli nie kłamstwem po prostu, symetriada bowiem do niczego ziemskiego nie jest podobna...

[...] Symetriada jest milionem, nie, miliardem podniesionym do potęgi, niewyobrażalnością samą; cóż stąd, że w głębi jakiejś jej nawy, będącej udziesięciokrotnioną przestrzenią Kroneckera, stoimy jak mrówki uczepione fałdy oddychającego sklepienia, że widzimy wzlot gigantycznych płaszczyzn, opalizujących szaro w świetle naszych flar, ich wzajemne przenikanie, miękkość i nieomylną doskonałość rozwiązania, które jest przecież tylko momentem – bo tu wszystko płynie – treścią tej architektoniki jest ruch, skupiony i celowy. Obserwujemy okruch procesu, drganie jednej struny w orkiestrze symfonicznej nadolbrzymów i mało tego, bo





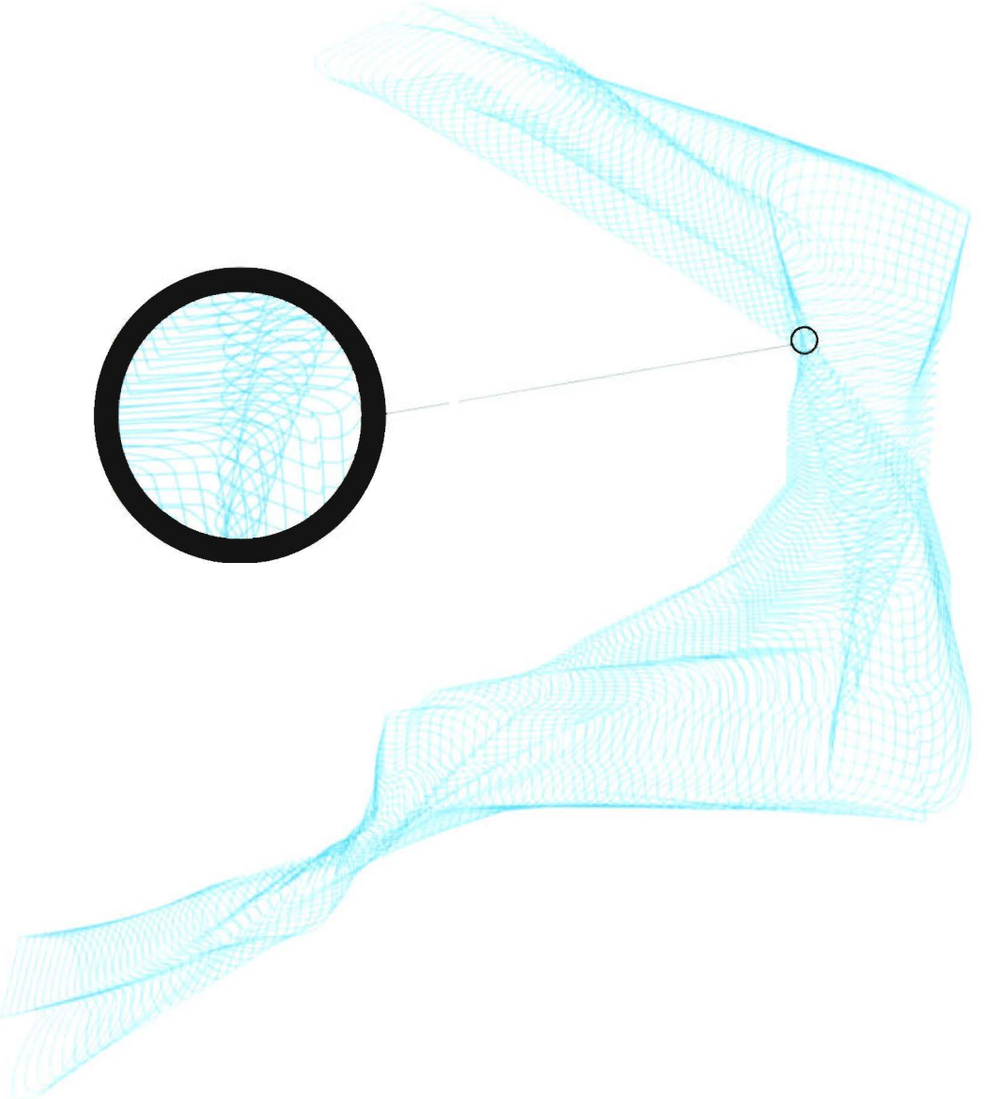

[Tablica 04] Struktura symetriady wg Giesego

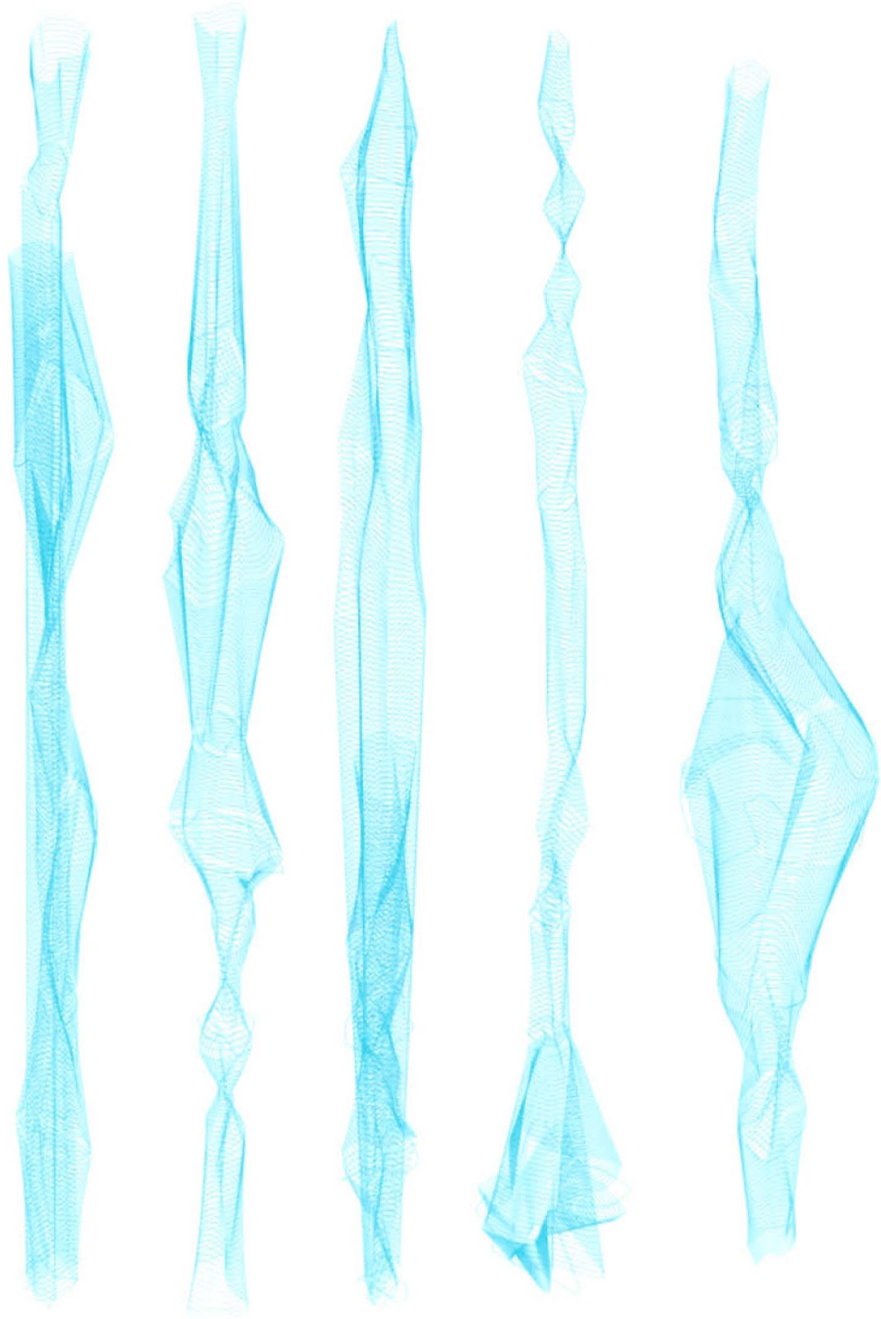

H89/45/R

K45/12/U

C12/72/R

A01/39/H

K13/72/Y

[TABLICA 05] PRZYKŁADY SYMETRIAD RIEMANNA



wiemy – ale tylko wiemy, nie pojmując – że równocześnie nad i pod nami, w strzelistych otchłaniach, poza granicami wzroku i wyobraźni zachodzą krocie i miliony równoczesnych przekształceń, powiązanych z sobą jak nuty matematycznym kontrapunktem. Nazwał ją więc ktoś symfonią geometryczną, ale wobec tego my jesteśmy głuchymi jej słuchaczami.

Tu, żeby zobaczyć cokolwiek naprawdę, trzeba by odbiec, cofnąć się w jakąś olbrzymią dal, ale przecież wszystko w symetriadzie jest wnętrzem, rozmnożeniem, buchającym lawinami porodów, bezustannym kształtowaniem, przy czym kształtowanie jest równocześnie kształtującym i żadna mimoza nie jest tak wrażliwa na dotknięcie jak odległa na mile od miejsca, w którym stoimy, setką kondygnacji oddzielona część symetriady, na zmiany, które przeżywa to nasze miejsce. Tu każda konstrukcja momentalna, z pięknem, które spełnienie znajduje poza granicami wzroku, jest współkonstruktorem i dyrygentem wszystkich innych, współdzielących się, a one wpływają z kolei modelująco na nią. Symfonia – dobrze, ale taka, która tworzy samą siebie i samą siebie zadławia. Okropny jest koniec symetriady. Nikt, kto go widział, nie oparł się wrażeniu, że jest świadkiem tragedii, jeżeli nie morderstwa. Po jakichś dwu, trzech najwyżej godzinach – ten wybuchowy rozrost, powielanie się i samorództwo nie trwa nigdy dłużej – żywy ocean przystępuje do ataku. Tak to wygląda: gładka powierzchnia marszczy się, uspokojony już, zaschłymi pianami okryty przybój poczyna wrzeć, od horyzontów pędzą współśrodkowe ciągi fal, takich samych umięśnionych kraterów jak te, które asystują narodzinom mimoidu, ale tym razem rozmiary ich są nieporównanie większe. Podmorska część symetriady zostaje ściśnięta, kolos podnosi się z wolna w górę, jakby miał zostać wyrzucony poza obręb planety; wierzchnie warstwy oceanicznego gleju zaczynają się aktywizować, wpełzają coraz wyżej, na boczne ściany, powlekają je, tężejąc, zamurowują wyloty, ale to wszystko jest niczym w porównaniu do tego, co zachodzi jednocześnie w głębi. Najpierw procesy formotwórcze – wyłanianie się z siebie kolejnych architektonik – zastygają na krótką chwilę, potem ulegają gwałtownemu przyspieszeniu, ruchy do tej pory płynne, przenikania, fałdowania się, rozskrzydlanie osnów i sklepień, miarowe dotąd i tak pewne, jakby miały przetrwać wieki, zaczynają gnać. Uczucie, że kolos w obliczu grożącego mu niebezpieczeństwa poczyna gwałtownie dążyć do jakiegoś spełnienia, staje się przytłaczające. Im jednak bardziej wzrasta szybkość przemian, tym jawniejsza staje się okropna, wstręt budząca metamorfoza samego budulca i jego dynamiki. Wszystkie zestrzelenia cudownie giętkich płaszczyzn miękną, flaczeją, obwisają, zaczynają się zjawiać potknięcia, formy nie dokończone, maszkarowate, kalekie, z nie-

widzialnych głębin donosi się rosnący szum, ryk, powietrze, wyrzucane jak w jakimś agonalnym oddechu, trąc o zwężające się cieśniny, chrapiąc i grając gromowo w przelotach, pobudza zapadające się stropy do rzężenia jakby potwornych jakichś krtani, obrastających stalaktytami śluzu, martwych głosowych strun, i widza ogarnia momentalnie, mimo rozpętującego się, najgwałtowniejszego ruchu – jest to przecież ruch zniszczenia – zupełna martwota. Już tylko orkan wyjący z otchłani, przemierzający ją tysiącami szybów podtrzymuje, rozdymając, podniebną budowlę, która zaczyna płynąć w dół, zapadać się, niczym chwycony płomieniami plaster, ale jeszcze gdzieniegdzie widać ostatnie trzepoty, bezwładne, oderwane od reszty poruszenia, ślepe, coraz słabsze, aż atakowany bezustannie, z zewnątrz, podmyty ogrom wali się z powolnością góry i znika w odmęcie pian, takich samych jak te, które towarzyszyły jego tytanicznemu powstaniu.



– Solaris / dodatek b –

# HISTORIA BADAŃ SOLARIS

Stanisław Lem

Wyciągnąłem aż nadto dobrze mi znany drugi tom starej monografii Hughesa i Eugla „Historia Solaris" i zacząłem go wertować, wsparłszy gruby, sztywny grzbiet na kolanie.

Odkrycie Solaris nastąpiło niemal na sto lat przed moim urodzeniem. Planeta krąży wokół dwu słońc – czerwonego i niebieskiego. Przez czterdzieści lat z górą nie zbliżył się do niej żaden statek. W owych czasach teoria Gamowa-Shapleya o niemożliwości powstania życia na planetach gwiazd podwójnych uchodziła za pewnik. Orbity takich planet bezustannie zmieniają się wskutek grawitacyjnej gry, zachodzącej podczas wzajemnego okrążania się pary słońc.

Powstające perturbacje na przemian kurczą i rozciągają orbitę planety i pierwociny życia, jeśli powstaną, ulegają zniszczeniu przez promienisty żar bądź lodowate zimno. Zmiany te zachodzą w okresie milionów lat, więc – wedle skali astronomicznej czy biologicznej (bo ewolucja wymaga setek milionów, jeśli nie miliarda lat) – w czasie bardzo krótkim.

Solaris miała według pierwotnych obliczeń zbliżyć się w ciągu pięciuset tysięcy lat na odległość połowy jednostki astronomicznej do swego czerwonego słońca, a po dalszym milionie – spaść w jego rozżarzoną otchłań.

Ale już po kilkunastu latach przekonano się, że jej tor nie wykazuje wcale oczekiwanych zmian, zupełnie jak gdyby był stały, tak stały, jak tory planet naszego układu słonecznego.

Powtórzono, teraz już z najwyższą dokładnością, obserwacje i obliczenia, które potwierdziły tylko to, co było znane: że Solaris posiada orbitę nietrwałą.

teoria Gamowa-Shapleya [tablica 06 – str. 18]

Solaris posiada orbitę nietrwałą

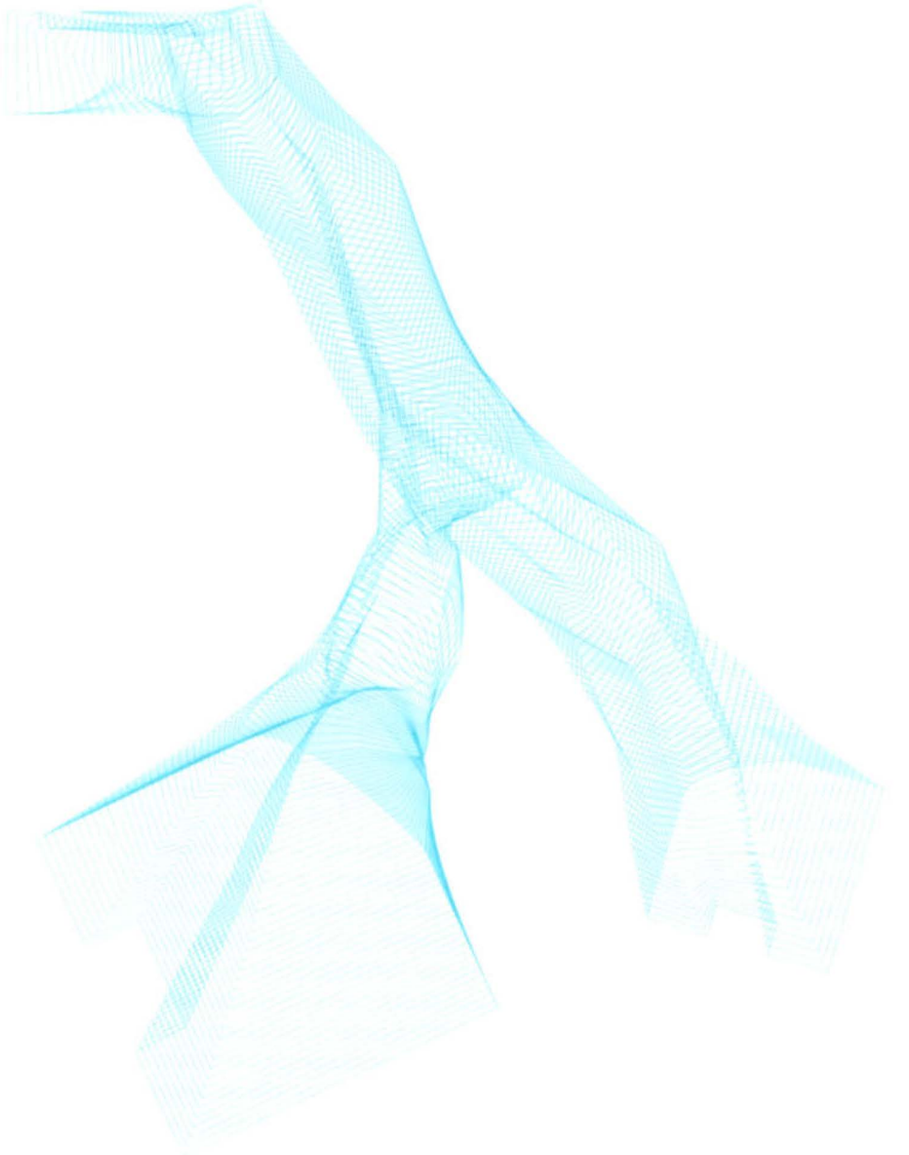

[tablica 06] teoria Gamowa-Shapleya. Diagram wektorowy





Z jednej z kilkuset odkrywanych rokrocznie planet, które kilkuwierszowymi notatkami, podającymi elementy ich ruchu, zostają wciągnięte do wielkich statystyk, Solaris awansowała wówczas do rangi ciała godnego szczególnej uwagi.

wyprawa Ottenskjolda

Jakoż w cztery lata po tym odkryciu okrążyła ją wyprawa Ottenskjolda, który badał planetę z Laokoona i dwu towarzyszących statków posiłkowych. Wyprawa ta miała charakter prowizorycznego, zaimprowizowanego zwiadu, tym bardziej że nie była zdolna lądować. Wprowadziła na orbity równikowe i biegunowe większą ilość automatycznych satelitów-obserwatorów, których głównym zadaniem były pomiary potencjałów grawitacyjnych. Ponadto zbadano powierzchnię planety, niemal w całości pokrytą oceanem, i nieliczne, wznoszące się nad jego poziom płaskowyże. Ich łączna powierzchnia nie dorównuje obszarowi Europy, choć Solaris ma średnicę o dwadzieścia procent większą od Ziemi. Te skrawki skalistego i pustynnego lądu, rozsiane nieregularnie, skupiają się głównie na półkuli południowej. Poznano też skład atmosfery, pozbawionej tlenu, i dokonano nader dokładnych pomiarów gęstości planety, jak również albeda i innych elementów astronomicznych. Jak to było oczekiwane, nie odnaleziono żadnych śladów życia ani na lądach, ani też nie dostrzeżono ich w oceanie.

W ciągu dalszych dziesięciu lat Solaris, teraz już znajdująca się w środku uwagi wszystkich obserwatoriów tego regionu, wykazywała zdumiewającą tendencję do zachowania swojej ponad wszelką wątpliwość grawitacyjnie nietrwałej orbity. Przez jakiś czas sprawa pachniała skandalem, gdyż winą za taki wynik obserwacji próbowano obarczyć (w trosce o dobro nauki) już to pewnych ludzi, już to maszyny rachujące, którymi się posługiwali.

Brak funduszów opóźnił wysłanie właściwe ekspedycji solarycznej o dalsze trzy lata, aż do chwili, kiedy Shannahan, skompletowawszy załogę, uzyskał od Instytutu trzy jednostki o tonażu C, klasy kosmodromicznej. Półtora roku przed przybyciem ekspedycji, która wystartowała z obszaru alfy Wodnika, druga flota eksploracyjna wprowadziła z ramienia Instytutu automatyczny Sateloid – Luną 247, na okołosolaryczną orbitę. Sateloid ten po trzech kolejnych rekonstrukcjach, oddzielonych od siebie dziesiątkami lat, pracuje do dnia dzisiejszego. Dane, które zebrał, potwierdziły ostatecznie spostrzeżenie ekspedycji Ottenskjolda o aktywnym charakterze ruchów oceanu.

Jeden statek Shannahana pozostał na wysokiej orbicie, dwa zaś po wstępnych przygotowaniach wylądowały na skalistym skrawku lądu, który zajmuje około sześciuset mil kwadratowych u południowego biegu-

| ROK | WYPRAWY | KURSY |
|---|---|---|
| 01 – 09 | 3 | ↗ |
| 10 – 19 | 12 | ↗ |
| 20 – 29 | 24 | ↗ |
| 30 – 39 | 12 | ↗ |
| 40 – 49 | 8 | ↘ |
| 50 – 59 | 3 | ↘ |

[tabela 02] Częstotliwość wypraw / Średnie kursy walut

na Solaris. Prace ekspedycji zakończyły się po osiemnastu miesiącach, przebiegając pomyślnie, z wyjątkiem jednego nieszczęśliwego wypadku, spowodowanego wadliwym działaniem aparatów. W łonie ekipy naukowej przyszło jednak do rozłamu na dwa zwalczające się obozy. Przedmiotem sporu stał się ocean. Uznano go na podstawie analiz za twór organiczny (nazwać go żywym nikt jeszcze podówczas nie śmiał). Gdy jednak biologowie widzieli w nim twór prymitywny – coś w rodzaju gigantycznej zespólni, a więc jak gdyby jedną, spotworniałą w swym wzroście, płynną komórkę (ale nazywali go „formacją prebiologiczną"), która cały glob otoczyła galaretowatym płaszczem, o głębokości sięgającej miejscami kilku mil – to astronomowie i fizycy twierdzili, że musi to być struktura nadzwyczaj wysoko zorganizowana, być może bijąca zawiłością budowy organizmy ziemskie, skoro potrafi w czynny sposób wpływać na kształtowanie orbity planetarnej. Żadnej bowiem innej przyczyny, wyjaśniającej zachowanie się Solaris, nie wykryto, ponadto zaś planetofizycy wykryli związek pomiędzy pewnymi procesami plazmatycznego oceanu a mierzonym lokalnie potencjałem grawitacyjnym, który zmieniał się w zależności od oceanicznej „przemiany materii".

maszyna plazmatyczna

Tak więc fizycy, a nie biologowie, wysunęli paradoksalne sformułowanie „maszyna plazmatyczna", rozumiejąc przez to twór, w naszym znaczeniu może i nie ożywiony, ale zdolny do podejmowania celowych działań na skalę – dodajmy od razu – astronomiczną.

W sporze tym, który jak wir wciągnął w przeciągu tygodni wszystkie najwybitniejsze autorytety, doktryna Gamowa-Shapleya zachwiała się po raz pierwszy od osiemdziesięciu lat.

Jakiś czas usiłowano jeszcze bronić jej twierdzeniem, że ocean nie ma nic wspólnego z życiem, że nie jest nawet tworem „para-" czy też „prebiologicznym", lecz geologiczną formacją, zapewne niezwykłą, lecz zdolną jedynie do utrwalania orbity Solaris poprzez zmiany siły ciążenia; powoływano się przy tym na regułę Le Chateliera.





hipoteza Civita-Vitty

Na przekór temu konserwatyzmowi wyrastały hipotezy głoszące, jak choćby jedna z lepiej opracowanych Civita-Vitty, że ocean jest wynikiem dialektycznego rozwoju: oto od swej postaci pierwotnej, od praoceanu, roztworu leniwie reagujących ciał chemicznych, zdołał pod naciskiem warunków (to znaczy, zagrażających jego istnieniu zmian orbity), bez pośrednictwa wszystkich ziemskich szczebli rozwoju, więc omijając powstanie jedno- i wielokomórkowców, ewolucję roślinną i zwierzęcą, bez narodzin systemu nerwowego, mózgu, przeskoczyć natychmiast w stadium „oceanu homeostatycznego". Inaczej mówiąc, nie przystosowywał się jak organizmy ziemskie przez setki milionów lat do otoczenia, aby dopiero po tak olbrzymim czasie dać początek rasie rozumnej, ale zapanował nad swym otoczeniem od razu.

Było to wcale oryginalne, tylko że w dalszym ciągu nikt nie wiedział, jak syropowata galareta może stabilizować orbitę ciała niebieskiego. Od wieku niemal znane były urządzenia, stwarzające sztuczne pola siłowe i grawitacyjne – grawitory – ale nikt nie wyobrażał sobie nawet, jak rezultatu, będącego – w grawitorach – wynikiem skomplikowanych reakcji jądrowych i olbrzymich temperatur, może dopiąć bezpostaciowa maź. W gazetach, zachłystujących się podówczas ku zaciekawieniu czytelników i ku zgrozie uczonych najniewybredniejszymi wymysłami na temat „tajemnicy Solaris", nie brakło i takich twierdzeń, że ocean planetarny jest... dalekim krewnym ziemskich węgorzy elektrycznych.

Gdy problem udało się, w jakiejś przynajmniej mierze, rozwikłać, okazało się, że wyjaśnienie, jak to nieraz potem bywało z Solaris, na miejsce jednej zagadki podstawiło inną, może jeszcze bardziej zdumiewającą. Badania wykazały, że ocean nie działa bynajmniej na zasadzie naszych grawitorów (co byłoby zresztą rzeczą niemożliwą), ale potrafi bezpośrednio modelować metrykę czasoprzestrzeni, co prowadzi między innymi do odchyleń w pomiarze czasu na jednym i tym samym południku Solaris. Tak więc ocean nie tylko znał w pewnym sensie, ale potrafił nawet (czego o nas nie można powiedzieć) wykorzystać konsekwencje teorii Einsteina-Boeviego.

Gdy to zostało powiedziane, wybuchła w świecie naukowym jedna z najgwałtowniejszych burz naszego stulecia. Najczcigodniejsze, powszechnie uznane za prawdziwe teorie waliły się w gruz, w literaturze naukowej pojawiały się najbardziej heretyckie artykuły, alternatywa zaś „genialny ocean" czy „grawitacyjna galareta" rozpaliła wszystkie umysły.

Wszystko to działo się na dobre kilkanaście lat przed moim urodzeniem. Kiedy chodziłem do szkoły, Solaris - za sprawą poznanych później faktów - powszechnie już była uznana za planetę obdarzoną życiem - tyle że posiadającą jednego tylko mieszkańca...

Drugi tom Hughesa i Eugla, który kartkowałem wciąż niemal bezmyślnie, rozpoczynał się od systematyki, tyleż oryginalnie pomyślanej, co zabawnej. Tablica klasyfikacyjna prezentowała kolejno: Typ - Polytheria, Rząd - Syncytialia, Klasa - Metamorpha.

Zupełnie jak gdybyśmy znali Bóg wie ile egzemplarzy gatunku, podczas gdy w rzeczywistości wciąż był tylko jeden, co prawda wagi siedemnastu bilionów ton.

Pod palcami przefruwały mi kolorowe diagramy, barwne wykresy, analizy i widma spektralne, demonstrujące typ i tempo przemiany podstawowej i jej reakcje chemiczne. Im dalej zagłębiałem się w zwalisty tom, tym więcej przemykało na kredowych stronicach matematyki; można było sądzić, że nasza wiedza o tym przedstawicielu klasy Metamorpha, który leżał, spowity ciemnością czterogodzinnej nocy, kilkaset metrów pod stalowym dnem Stacji, jest zupełna.

W rzeczywistości nie wszyscy byli jeszcze zgodni co do tego, czy to jest „istota", nie mówiąc już o tym, czy można nazwać ocean rozumnym. Wstawiłem z trzaskiem wielki tom na półkę i wydobyłem następny. Dzielił się na dwie części. Pierwsza była poświęcona streszczeniu protokołów eksperymentalnych wszystkich owych niezliczonych przedsięwzięć, których celem było nawiązanie kontaktu z oceanem. To nawiązanie kontaktu było, pamiętałem aż nazbyt dobrze, źródłem niekończących się anegdot, kpin i dowcipów w czasie studiów; średniowieczna scholastyka wydawała się klarownym, jaśniejącym oczywistością wykładem wobec dżungli, jaką zrodziło to zagadnienie. Drugą część tomu, liczącą prawie tysiąc trzysta stron, zajmowała sama tylko bibliografia przedmiotu. Oryginalna literatura na pewno nie zmieściłaby się w pokoju, w którym siedziałem.

pierwsze próby kontaktu

Pierwsze próby kontaktu odbywały się za pośrednictwem specjalnych aparatów elektronowych, transformujących bodźce, przesyłane w obie strony. Ocean brał przy tym aktywny udział w kształtowaniu tych aparatów. Ale wszystko to działo się w zupełnej ciemności. Co znaczyło, że „brał udział?" Modyfikował pewne elementy zanurzanych weń urządzeń, wskutek czego zapisywane rytmy wyładowań zmieniały się, aparatury rejestrujące utrwalały mrowie sygnałów, jak gdyby strzępy jakichś olbrzymich działań wyższej analizy, ale co to wszystko znaczyło? Może były to dane o chwilowym stanie pobudzania oceanu? Może impulsy, powodujące powstawanie jego olbrzymich tworów, gdzieś o tysiące mil od ba-





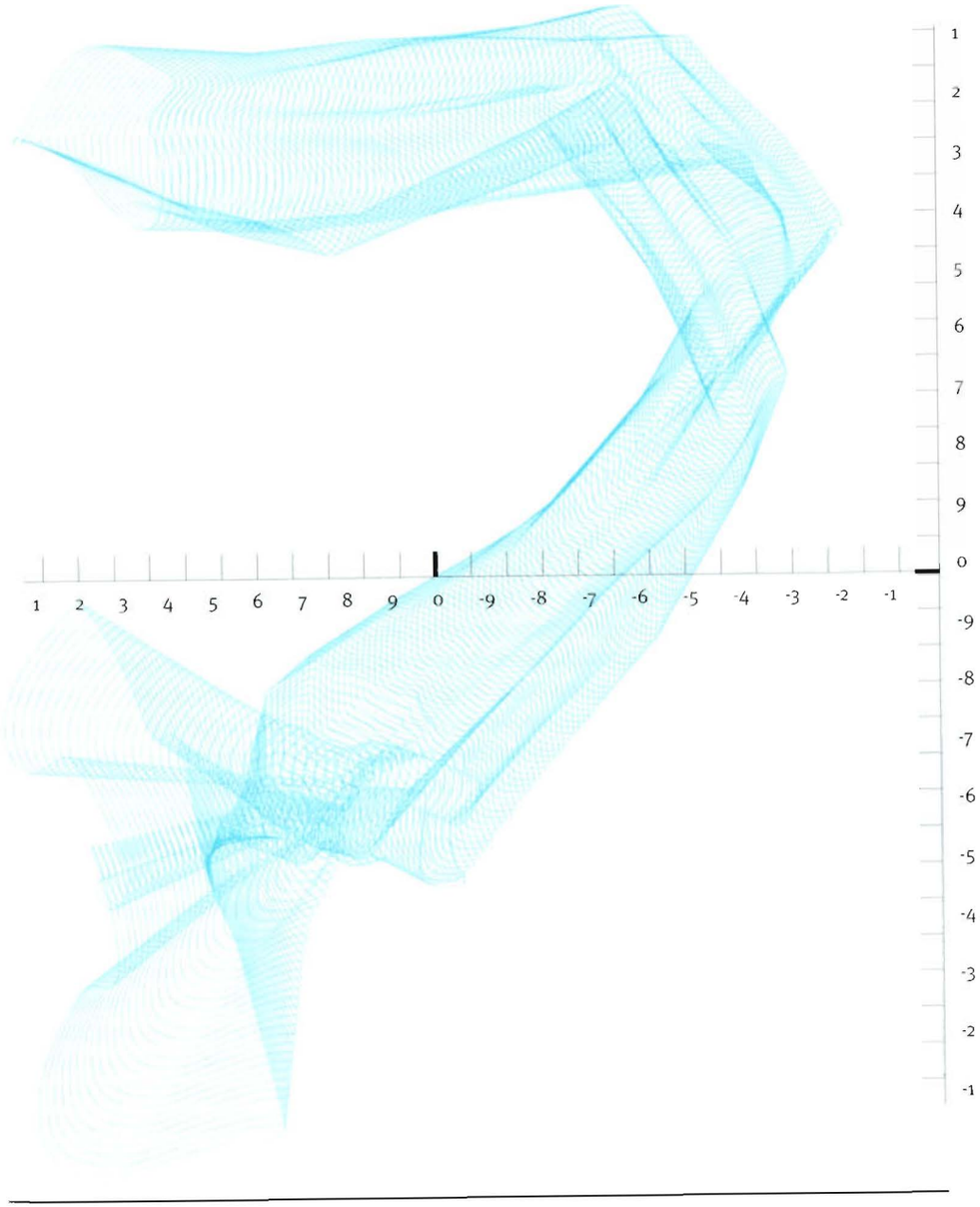


[tablica 07] stany pobudzenia oceanu wg Grossmana

daczy? Może przełożone na niedocieczone konstrukty elektronowe – odzwierciedlenia odwiecznych prawd tego oceanu? Może jego dzieła sztuki? Któż to mógł wiedzieć, skoro niepodobna było uzyskać dwa razy takiej samej reakcji na bodziec? Skoro raz odpowiedzią był wybuch impulsów, nieomal rozsadzających aparaty, a raz głuche milczenie? Skoro żadnego doświadczenia niepodobna było powtórzyć? Wciąż wydawało się, że stoimy o krok od rozszyfrowania tego, nieustannie powiększającego się, morza zapisów; specjalnie przecież w tym celu budowano mózgi elektronowe o przetwórczej mocy informacyjnej, jakich nie wymagał dotychczas żaden problem. Istotnie, uzyskano pewne rezultaty. Ocean – źródło elektrycznych, magnetycznych, grawitacyjnych impulsów – przemawiał jak gdyby językiem matematyki; pewne sekwencje jego prądowych wyładowań można było klasyfikować, posługując się najbardziej abstrakcyjnymi gałęziami ziemskiej analizy, teorii mnogości, pojawiały się tam homologi struktur, znanych z tej dziedziny fizyki, która zajmuje się rozważaniem wzajemnego stosunku energii i materii, wielkości skończonych i nieskończonych, cząstek i pól – to wszystko skłaniało uczonych do przekonania, że mają przed sobą myślącego potwora, że jest to rodzaj milionokrotnie rozrosłego, opasującego całą planetę, protoplazmatycznego morza-mózgu, który trawi czas na niesamowitych w swej rozpiętości teoretycznych rozważaniach nad istotą wszechrzeczy, a wszystko to, co wychwytują nasze aparaty, stanowi drobne, przypadkowo podsłuchane strzępy owego toczącego się wiekuiście w głębinach, przerastającego wszelką możliwość naszego pojmowania, gigantycznego monologu.

ignoramus et ignorabinius

Tyle matematycy. Hipotezy takie określane były przez jednych jako wyraz lekceważenia ludzkich możliwości, jako padanie na twarz przed czymś, czego jeszcze nie rozumiemy, ale co da się zrozumieć jako wydobywanie z grobu starej doktryny „ignoramus et ignorabinius"; inni uważali znów, że są to szkodliwe i jałowe bajdy, że w tych hipotezach matematyków przejawia się mitologia naszych czasów, widząca w mózgu olbrzymim – elektronowym czy plazmatycznym, to wszystko jedno – najwyższy cel istnienia – summę bytu.

A inni jeszcze... ale badaczy i poglądów były legiony. Cóż zresztą stanowiła cała dziedzina prób „nawiązania kontaktu" w porównaniu z innymi gałęziami solarystyki, w których specjalizacja tak się posunęła, zwłaszcza na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza, że solarysta-cybernetyk nie mógł prawie porozumieć się z solarystą-symetriadologiem. „Jak możecie się porozumieć z oceanem, jeżeli nie potraficie już tego uczynić między sobą?" – zapytał kiedyś żartobliwie Veubeke, który był wtedy, podczas moich studiów, dyrektorem Instytutu; w tym żarcie było wiele prawdy. Bo





| ROK | LICZBA PUBLIKACJI | PAPIER (w tyś. ton) |
|---|---|---|
| 01 – 05 | 3 | 180 |
| 05 – 10 | 12 | 220 |
| 11 – 15 | 152 | 1134 |
| 16 – 20 | 1431 | 23.457 |
| 21 – 25 | 763 | 10.012 |
| 26 – 30 | 659 | 8.047 |
| 31 – 35 | 789 | 11.276 |
| 36 – 40 | 2456 | 24.785 |
| 41 – 45 | 1287 | 7.342 |
| 46 – 50 | 456 | 5.666 |
| 51 – 55 | 895 | 10.023 |
| 56 – 60 | 132 | 5.121 |

[tabela 03] Liczba publikacji o Solaris / Zużycie papieru

też ocean nieprzypadkowo zaszeregowano do klasy Metamorpha. Jego falująca powierzchnia mogła dawać początek najbardziej różniącym się od siebie, do niczego ziemskiego niepodobnym formom, przy czym celowość – adaptacyjna, poznawcza czy jakakolwiek inna – owych gwałtownych nieraz erupcji plazmatycznej „twórczości" była zupełną zagadką. Odstawiając na półkę tom, tak ciężki, że musiałem przytrzymać go obiema rękami, pomyślałem, że nasza wiedza o Solaris, wypełniająca biblioteki, jest bezużytecznym balastem i trzęsawiskiem faktów i znajdujemy się w takim samym miejscu, w którym poczęto ją gromadzić, przed siedemdziesięciu ośmiu laty, a właściwie sytuacja była o wiele gorsza, ponieważ cały trud tych lat okazał się daremny.

To, cośmy wiedzieli dokładnie, obejmowało same tylko zaprzeczenia. Ocean nie posługiwał się maszynami ani ich nie budował, chociaż w pewnych okolicznościach wydawał się do tego zdolny, gdyż powielał części niektórych zanurzonych w nim aparatów, ale czynił to tylko w pierwszym i drugim roku prac eksploracyjnych; potem ignorował wszelkie ponawiane z benedyktyńską cierpliwością próby, jakby stracił dla naszych urządzeń i produktów (a wynikałoby, że także i dla nas...) wszelkie zainteresowanie. Nie posiadał – kontynuuję wyliczenie naszych „negatywnych

wiadomości" - żadnego systemu nerwowego ani komórek, ani struktury przypominającej białkową; nie zawsze reagował na bodźce, nawet najpotężniejsze (tak na przykład całkowicie „zignorował" katastrofę pomocniczego rakietowca drugiej ekspedycji Giesego, który runął z wysokości trzystu kilometrów na powierzchnię planety, niszcząc jądrową eksplozją swych atomowych stosów plazmę w promieniu półtorej mili).

Powoli w kręgach naukowców „sprawa Solaris" brzmieć zaczęła jak „sprawa przegrana", zwłaszcza w sferach naukowej administracji Instytutu, gdzie podnosiły się w latach ostatnich głosy domagające się obcięcia dotacji na dalsze badania. O całkowitym zlikwidowaniu Stacji nikt się dotąd nie ośmielił mówić; byłoby to zbyt jawnym przyznaniem się do klęski. Zresztą niektórzy, w rozmowach prywatnych, powiadali, że wszystko, czego nam trzeba, to strategia możliwie „honorowego" wycofania się z „afery Solaris" Dla wielu jednak, szczególnie zaś dla młodych, „afera" ta stawała się z wolna czymś w rodzaju kamienia probierczego własnej wartości: „w gruncie rzeczy - mówili - idzie o stawkę większą aniżeli o zgłębienie solaryjskiej cywilizacji, gra toczy się bowiem o nas samych, o granice ludzkiego poznania".

Przez pewien czas popularny był (rozpowszechniany gorliwie przez prasę codzienną) pogląd, że myślący ocean, który opływa całą Solaris, jest gigantycznym mózgiem, przewyższającym naszą cywilizację o miliony lat rozwoju, że to jakiś „kosmiczny yoga", mędrzec, upostaciowana wszechwiedza, która dawno już pojęła płonność wszelkiego działania i dlatego zachowuje wobec nas kategoryczne milczenie. Była to po prostu nieprawda, bo żywy ocean działa, i to jak jeszcze - tyle że według innych, aniżeli ludzkie, wyobrażeń, nie buduje więc miast ani mostów, ani machin latających; nie próbuje też zwyciężyć przestrzeni ani jej przekroczyć (w czym niektórzy obrońcy wyższości człowieka za wszelką cenę upatrywali bezcenny dla nas atut), zajmuje się natomiast tysiącznymi przekształceniami - „autometamorfozą ontologiczną"; już to uczonych terminów nie brak na kartach dzieł solarystycznych! Ponieważ, z drugiej strony, człowieka, uporczywie wczytującego się we wszystkie możliwe solariana, ogarnia nieprzeparte wrażenie, iż ma przed sobą ułamki intelektualnych konstrukcji, być może genialnych, przemieszane bez ładu i składu z płodami jakiegoś kompletnego, graniczącego z obłędem, głuptactwa, powstała jako antyteza koncepcji „oceanu-yogi" myśl o „oceanie-debilu".

hipoteza du Haarta

Hipotezy te wydobyły z grobu i ożywiły jeden z najstarszych problemów filozoficznych - stosunku materii i ducha, świadomości. Trzeba było niemałej odwagi, aby po raz pierwszy - jak du Haart - przypisać oceanowi świadomość. Problem ten, przez metodologów uznany pospiesznie za





metafizyczny, tlił się na dnie wszystkich nieomal dyskusji i sporów. Czy możliwe jest myślenie bez świadomości? Ale czy zachodzące w oceanie procesy można nazwać myśleniem? Czy góra to bardzo wielki kamień? Czy planeta to ogromna góra? Można używać tych nazw, ale nowa skala wielkości wprowadza na scenę nowe prawidłowości i nowe zjawiska.

Problem ten stał się kwadraturą koła naszych czasów. Każdy samodzielny myśliciel usiłował wnieść w skarbnicę solarystyki swój wkład; mnożyły się teorie głoszące, że mamy przed sobą produkt degeneracji, uwstecznienia, które nastąpiło po minionej fazie „intelektualnej świetności" oceanu, już to, że ocean jest w samej rzeczy nowotworem-glejalkiem, który, narodziwszy się w obrębie ciał dawnych mieszkańców planety, pożarł je wszystkie i pochłonął, stapiając szczątki w postać wiecznie trwającego, samoodmładzającego się, ponadkomórkowego żywiołu.

Stanisław Lem, *Solaris*, Wydawnictwo Literackie 1999

TR WARSZAWA

UL. MARSZAŁKOWSKA 8
WWW.TRWARSZAWA.PL

DYREKTOR NACZELNY I ARTYSTYCZNY
GRZEGORZ JARZYNA

ZASTĘPCA DYREKTORA NACZELNEGO
TOMASZ JANOWSKI

KIEROWNIK LITERACKI
AGNIESZKA TUSZYŃSKA

KOORDYNACJA PRACY ARTYSTYCZNEJ MAŁGORZATA MAZUR
PROMOCJA MAGDA MAJEWSKA
ARCHIWUM ANNA ROCHOWSKA
BIURO OBSŁUGI WIDZÓW BEATA ZABOREK-SROKA
KIEROWNIK WIDOWNI JUSTYNA MATYJAŚKIEWICZ

GŁÓWNA KSIĘGOWA WANDA DORANT-PODGÓRSKA
RADCA PRAWNY MICHAŁ GOŹDZIK
KIEROWNIK ADMINISTRACYJNY SEBASTIAN POMIRSKI-CIURA

KIEROWNIK BUDOWY DEKORACJI ANDRZEJ ŁASTOWSKI
BRYGADIER SCENY ANDRZEJ TUSZEWICZ
STOLARZE STEFAN DUKAŁA, TADEUSZ TOMASZEWSKI
ŚLUSARZE KAROL KORYTKO, TOMASZ CIĘŻAREK
ZAOPATRZENIE SŁAWOMIR MODZELEWSKI

REDAKCJA PROGRAMU AGNIESZKA TUSZYŃSKA
PROJEKT GRAFICZNY GRZEGORZ LASZUK[K+S]

MIASTO STOŁECZNE WARSZAWA

FACTORY gazeta Gazeta.pl ams EXKLUSIV TVP KULTURA

S
.R